

Waldemar Bronicz

Kufer Wspomnień



Chodaków
Brochów · Łowicz · Skierniewice · Sochaczew
Trojanów · Żelazowa Wola i Żyrardów



ZAMIAST WSTĘPU

WALDEMAR BRONICZ

KUFER WSPOMNIENI

Z

CHODAKOWA

a także z Brochowa, Łowicza, Sochaczewa, Skierniewic,
Trojanowa, Źelazowej Woli oraz Źyrardowa

Kufer wspomnień

Copyright © by Waldemar Bronicz

All rights reserved

Wydanie I 2014 rok

www.bronicz.pl

Projekt okładki: ArtGrafic Katarzyna Sałasińska

Autor fotografii na okładce: ArtGrafic Katarzyna Sałasińska

Korekta i słowo wstępu: Anna Sobkowicz

Skład: Waldemar Bronicz

Druk i oprawa: Drukarnia Eikon Plus

ul. Wierzbickiego 46

31-302 Kraków

Tłumaczenie na język angielski: Roman Fitulski

Fotografie ze zbiorów następujących osób:

Waldemar Bronicz, Janusz Błazejewski, Anna Bartosiak-Aksamit, Izabela Choroblewska, Karol Engwert, Piotr Gałęcki, Zofia Gonta, Mieczysław Gradowski, Włodzimierz Janiszewski, ks Antoni Jaszczółt, Józef Kaczmarek, Teresa Kaźmierska, Przemysław Korwin-Kłosiński, Teresa Nowek, Antonina i Jan Owczarek, Grzegorz Pyrak, Ireneusz Panfil, Lucyna Sofulak, Alina Stradecka, Magdalena Ulatowska-Woźnicka, Jan Ulmer, Lidia Zglińska, Marek Zgliński

ISBN: 978-83060391-87-7

ZAMIAST WSTĘPU

*Nie jest jeden człowiek. Jest szereg kawałków czasu,
nawleczonych na nitkę jednej pamięci.*

Narcyza, Zofia Nałkowska

Kufer wspomnień to prawdziwe historie wielu wspaniałych ludzi związanych z Chodakowem. Ludzi, którzy zechcieli porozmawiać z autorem książki – Waldemarem Bronicz. Historie, spisane trwale na białych kartkach, tworzą fotografię dawnego Chodakowa. Miejsca, które kiedyś, pomimo ciężkich czasów, tętniło życiem.

Kufer wspomnień, to migawki z życia osób, które nadały bieg historii naszemu miastu i jego okolicom. Kluczem do otwarcia kufra... są stare fotografie. Często zakurzone, podarte...

Ileż to razy zdarzyło się nam zapłakać, uśmiechnąć do osób zamkniętych w kadrze znakomitych fotografików?

Ileż razy zabrakło nam słów ze wzruszenia, gdy przypadkowa fotografia-klucz trafiła nam w ręce?

Niekonwencjonalność drugiej już książki Waldemara Bronicz tkwi nie tylko w starej fotografii, lecz przede wszystkim w sposobie spisywania przeszłości... Czasem proste, czasem skomplikowane akapity są wiernym odwzorowaniem ludzkiej mowy. Myśli, które w chwili odkrywania na nowo starych fotografii, w potoku słów, układają się w *szereg kawałków czasu*, tworząc historię tym bardziej prawdziwą...

Waldemar Bronicz nie bał się spisać wspomnień. Wręcz odwrotnie – łącząc je z jednym z największych w Polsce zbiorem starych fotografii – przywrócił je do życia w tej formie, w jakiej zapisały się na kartach ludzkiej pamięci.

I te karty pamięci, nic nie zmienione, oddajemy dziś Wam, drodzy Czytelnicy...
Może dzięki temu przetrwają kolejne lata.

Anna Sobkowicz

W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...
W tym roku...
W tym roku...

W tym roku...

W tym roku...

MIGAWKI Z PRZEDWOJENNEGO CHODAKOWA

Często lubimy powracać do miejsc z naszego dzieciństwa.

Czasem jednak pamięć już nas zawodzi i nie zawsze potrafimy znaleźć dokładnie to, czego szukamy.

Podróż po dawnym Chodakowie może być dla wielu z nas niesłychanie odkrywczą i niezapomniana...

Bo Chodaków nadal jest pełen tajemnic i zagadek z przeszłości.

A dopóki żyć będą dawni jego mieszkańcy, każda fotografia z ich rodzinnego albumu może jeszcze nie raz być na nowo opisana i opowiedziana...

I każde miejsce utrwalone okiem kamery może kryć w sobie jeszcze nie jedną tajemnicę i zagadkę z przeszłości.

I kiedy wszystko się zmienia, pięknieje lub odchodzi w zapomnienie, to właśnie czar starych fotografii powraca na nowo. Odżywają wspomnienia, radości i smutki, i pamięć o tych, których już nie ma między nami.

I dopóki będziemy o nich mówić, pisać i opowiadać, ich dusze będą nadal obecne wśród żywych. Bo każda osoba na fotografii żyje tak długo, jak długo ktoś jeszcze o tej osobie pamięta...



Szkola Powszechna w Chodakowie, początek lat 40-tych

WSPOMNIENIA O DAWNEJ FABRYCE

Kiedy byłem małym chłopcem często przychodziłem pod zakładową bramę i biuro przepustek, aby spotkać moją tatę wychodzącego z fabryki. Przez to samo biuro przepustek przechodził wiele lat wcześniej mój dziadek oraz moja babcia, podobnie jak tysiące innych osób.

Można powiedzieć – biuro przepustek to żywa historia fabryki. Przeszło osiemdziesiąt lat wspomnień i historii osób, których już często nie ma między nami...

Pamiętam jeszcze, jak w latach sześćdziesiątych były dwa oddzielne biura przepustek – jedno dla mężczyzn a drugie dla kobiet.

Pamiętam straż przemysłową w charakterystycznych ciemnych mundurach sprawdzającą wchodzących i wychodzących z fabryki.

Brama wjazdowa też wyglądała inaczej. Na samej górze widniał neon w kształcie stożka jedwabiu i napis „Jedwab Chodaków”.



Przed bramą główną Fabryki Jedwabiu, koniec lat 50-tych

Nazywam się Waldemar Bronicz i jestem przedstawicielem trzeciego pokolenia, które swoje zawodowe losy związało z chodakowską fabryką. Mój dziadek, Edward Bronicz, urodzony w 1883 roku na Łotwie trafił tutaj pod koniec lat dwudziestych minionego wieku. Można powiedzieć, że był i uczestniczył w budowie fabryki, mam nawet stare zdjęcie z początku lat trzydziestych, jak stoi z innymi pracownikami, między innymi z Michałem Henke przy uruchamianej właśnie turbinie. W ogóle historia życia mojego dziadka to temat na film...

Syn polskiego szlachcica Józefa Bronicz zesłanego po powstaniu listopadowym na tereny Inflantów oraz Łotyszki Zuzanny Grejszl, urodził się na łotewskiej ziemi w miejscowości Wielony, położonej między Rygą a Petersburgiem.

Przystojny, wysportowany, trafił do wojska rosyjskiego, gdzie służył w latach 1908-1912 w kompanii reprezentacyjnej cara.

Zawsze ciekawiło mnie, ileż to koronowanych głów widział w tamtym czasie, salutując carowi, królom i księżętom...

Pamiętam, jak opowiadał mi kiedyś o swojej pracy w Zakładach Putiłowskich w Petersburgu. Pamiętam jak pokazywał stare fotografie, na których stoi obok właścicieli fabryki.

Kiedy wybuchła rewolucja październikowa, musiał uciekać przed bolszewikami i tak trafił do Polski. Późniejsze jego zawodowe losy to kolejne fabryki w Warszawie, Tomaszowie Mazowieckim, Lublinie czy Niewiadowie. W końcu osiadł w Chodakowie i tu pracował przez kolejne lata swojego życia.



Budowa Fabryki Jedwabiu w Chodakowie, 1927 r.

Mój tata Alfred Bronicz to kolejne pokolenie związane z fabryką. Zaczynał swoje zawodowe życie jako prosty robotnik, aby po przeszło czterdziestu latach pracy odejść na emeryturę ze stanowiska zastępcy dyrektora ds. technicznych. Blisko dwadzieścia lat był Głównym Energetykiem, cenionym racjonalizatorem oraz właścicielem patentu, którego wdrożenie w latach sześćdziesiątych dało kolosalne oszczędności przy produkcji jedwabiu.

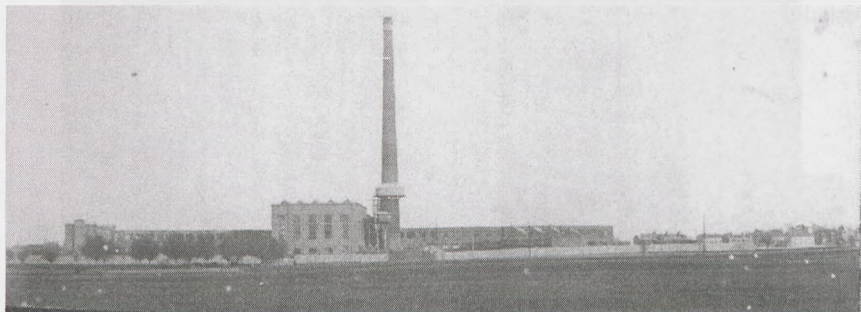
Tak jak mój dziadek był przy budowie fabryki, a mój tata przy jej rozwoju, tak ja pamiętam jej koniec. Pamiętam wygaszanie przędzalni, złomowanie maszyn oraz zwalnianie tysięcy ludzi. Fabryka jak małe miasteczko tętniła życiem i choć większość jej byłych pracowników już nie żyje, pozostały po nich wspomnienia (pytanie – na jak długo ?), oraz stare fotografie, często robione jeszcze na szklanych negatywach.

Podobnych rodzinnych historii jest wiele. Nie sposób wszystkich opisać i opowiedzieć. Czasem jednak nawet jednostkowa historia ma w sobie coś, co potrafi zafascynować nie jedną osobę.

Można zadać sobie wtedy pytanie:

Ile w Chodakowie się zmieniło?

I czy to ludzie się zmienili czy tylko Chodaków...



Fabryka Jedwabiu w Chodakowie - widok ogólny, lata 30-ste

STARY PODRÓŻNY KUFER

Należał do mojego dziadka.

Dzisiaj trudno określić jego wiek, ale z pewnością ma już przeszło sto lat, a może nawet i więcej...

Stary podróżny kufer...

To do niego, uciekając w 1918 roku przed bolszewikami z Petersburga, mój dziadek zapakował wszystkie osobiste rzeczy. Wszystko co miał, musiał zmieścić w tym jednym kufrze. Zostawił dom, meble i wiele innych kosztowności, ale uratował swoje życie.

Tak mówił...

Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak ważne są przedmioty pozostawione przez naszych przodków.



Edward Bronicz, początek lat 20-tych

Po dziadku pozostały mi w większości stare fotografie i wspomnienia z dzieciństwa.

No i ten kufer, dzisiaj trochę zakurzony, ale jak można ocenić – solidnie wykonany.

Dzisiaj zapewne nikt już nie robi takich bagaży...

A ten mojego dziadka, tak myślę, w każdej chwili wystarczyłoby zapakować i byłby gotowy do kolejnej podróży...

Szkoda że kufer nie potrafić mówić...

Gdyby tak było, wystarczyłoby nacisnąć odpowiedni guzik lub zwyczajnie otworzyć jego wieko – jak pozytywkę – i słuchać opowieści z minionych czasów.

Kiedys jeden z moich studenckich kolegów opowiadał mi historię swojej babci, która lubiła oglądać przedwojenne filmy.

Praktycznie znała je na pamięć...

I kiedy ten kolega oglądał taki stary film, zawsze miał przed oczyma swoją babcię, która już od wielu lat nie żyła, a czuł jej obecność przy sobie.

Tak też, i ten stary kufer przypomina mi mojego dziadka. I czuję, jakby dziadek był obok mnie... chciał mi opowiedzieć wiele historii ze swojego życia.



Waldemar Bronicz z kufrem dziadka, Pasaż Wacława Duplickiego w Chodakowie, 2014 r.

SYNOWIE KRETZINGERA

Ksej, Henryk i Rudolf i Edward...

Dzisiaj pamiętają o nich tylko nieliczni.

Z reguły są to dawni szkolni koledzy, dla których Rudolf był najbardziej polski, Henryk – niemiecki, a Ksej był dla większości prawie dorosły i ustatkowany. Gdyby nie wojna, pracowaliby zapewne później w fabryce jedwabiu w Chodakowie, a ich losy nie byłyby tak tragiczne i poplątane.

Po wybuchu wojny Edward, Henryk i Rudolf wstąpili do Hitlerjugend, a Kseja powołano do wojska. Synowie Niemca i Ukrainki mieszkali z rodzicami i siostrą Natalią i Olgą w drewnianym domu na obecnej ulicy Chodakowskiej. W maju 1940 roku budynek spłonął i rodzina Kretzingerów przeniosła się do budynku Zuchory.

Emil Edward Kretzinger pracował w ochronie fabryki, a jego żona Akulina zajmowała się domem.

Jak wspominał mi Ireneusz Panfil, Ksej Kretzinger odwiedził rodziców podczas urlopu w wojsku na wiosnę 1941 roku.

Kilka miesięcy później zginął na froncie wschodnim pod Woroneżem.

Henryk Kretzinger także nie przeżył wojny. Na trzy miesiące przed zakończeniem działań wojennych zginął w Czechosłowacji od wybuchu bomby z opóźnionym zapłonem.

Jedynie Rudolf i Edward, (najmłodszy z braci) po opuszczeniu Chodakowa pod koniec 1944 roku, przeżyli wojnę i zamieszkali w Niemczech, niecałe trzydzieści kilometrów przy granicy z Belgią. Najbardziej za rodzinnymi stronami i Chodakowem tęsknił Rudolf.

Nigdy nie zapomniał o dawnych kolegach ze szkoły i drużyny harcerskiej.

Przez cały czas był z nimi wieloma w listowym kontakcie.



Rudolf Kretzinger z Lucyną Sofulak w Chodakowie, lata 80-te

Na początku lat dziewięćdziesiątych przyjechał do Chodakowa. Odwiedził wtedy dawnych kolegów, pokazywał im nawet stare chodakowskie fotografie, które jako pamiątkę ze szkolnej ławki przywiózł ze sobą.

Doszło do kilkunastu niezwykle wzruszających spotkań, rozmów toczonych godzinami i wspomnień z dzieciństwa.

– Śpiewaliśmy wtedy stare harcerskie piosenki – wspomina Karol Engwert – często do białego rana...

Rudolf Kretzinger, który uczestniczył w tych spotkaniach, zmarł kilka miesięcy później. Podczas pobytu w Chodakowie Rudolf odwiedził jeszcze grób swojego ojca, który zmarł na początku lat czterdziestych, a którego pochowano na jednym z wiejskich ewangelickich cmentarzy.

Dzisiaj po grobie Emila Kretzingera w Karolkowie, koło Bromierzyka, nie ma już śladu. Jeszcze dwadzieścia lat temu stał tam stary krzyż i tablica w wrytym imieniem i nazwiskiem.

Teraz grób stał się bezimienny i tak naprawdę nie wiadomo gdzie się znajduje.

Ireneusz Panfil wspominał mi, że stary Kretzinger zmarł trzy miesiące po tym, jak podpisał volkslistę.

To tak, jakby podpisał wyrok na swoją rodzinę, nie przeczuwając śmierci kolejnych jej członków...

Nie był to zły człowiek, ale wojna zmieniła wielu ludzi, którym przyszło w tamtym czasie podejmować decyzje, co do których nie do końca byli przekonani...



Rodzina Kretzingerów w Chodakowie, początek lat 40-tych

HOTEL PRZY LIPOWEJ ALEI

Kiedy został zbudowany zachwycali się nim wszyscy.

W krótkim czasie stał się prawdziwym domem dla kadry inżynierskiej, która przybyła do Chodakowa z odległych miast i stolic europejskich.

W tym czasie nie było jeszcze osiedla zakładowego, słynnej Parkowej, Młynarskiej czy Topolowej.

Był natomiast hotel z piękną werandą serwujący oprócz noclegów także śniadania, obiady i kolacje.



Przed wejściem do hotelu, fotografia grupowa, lata 30-ste

W hotelu mówiono po francusku, angielsku, rosyjsku, niemiecku i oczywiście po polsku – z tym jednak, że język polski nie był językiem dominującym.

Fabryka jedwabiu powstała w niespełna dwa lata. Szybko powstały też pierwsze budynki dla kadry inżynierskiej i średniego szczebla technicznego.

Mimo upływającego czasu hotel nieustannie był wypełniony gośćmi i dosłownie brakowało w nim miejsca.

W pierwszych latach funkcjonowania fabryki mieszkali w nim przeważnie różnego rodzaju specjaliści i serwisanci maszyn oraz urządzeń sprowadzanych z zagranicy. Także liczni praktykanci i wizytujący fabrykę inżynierowie znajdowali tutaj schronienie.

Hotel otoczony był licznymi drzewami i krzewami kwiatowymi a obok niego biegła stara lipowa aleja prowadząca do Żelazowej Woli.



Przed hotelem, lata 30-te



Przed hotelem, lata 30-te

Hotel prowadził przedstawiciel fabryki. U niego też dokonywano pierwszych rezerwacji i ustalano warunki zakwaterowania.

Tuż za hotelem można było zagrać na profesjonalnym ziemnym korcie tenisowym, a idąc dalej w stronę Utraty także zagrać w krykieta.

Wspólne śniadania, obiady i kolacje miały niemały wpływ na integrację i wzajemne poznawanie się osób przyjeżdżających do Chodakowa.



Halina i Bolesław Wesółscy z przyjaciółmi, lata 30-te

Hotel przetrwał czas okupacji i pierwsze lata powojenne.

Później został rozebrany, a na jego miejscu powstały kolejne bloki zakładowe.

Dzisiaj dla wielu osób jest już tylko wspomnieniem świata dawnej fabryki jedwabiu.

WIERA BAŁACZYŃSKA

Wiera Bałaczyńska wraz z mężem (Jerzym Bałaczyńskim), po zastrzeleniu ich syna Igora, przez Niemców, zostali aresztowani.

Tak naprawdę tylko dzięki dyrektorowi fabryki jedwabiu w Chodakowie – Brauerowi, Jerzy Bałaczyński został zwolniony niemal od razu. Musiał jednak przebywać przez pewien czas tylko na terenie fabryki, aby nikt z postronnych osób nie mógł go zauważyć.

Wierę Bałaczyńską zawieziono na Schucha, a później na Pawiak. Podobno jej nie bito, bito jednak w jej obecności innych, żeby zrozumiała co to za miejsce i jak wyglądają przesłuchania.

Pytano ją o syna Igora, z kim kontaktował się przed zastrzeleniem, kto był jego najlepszym kolegą, z kim się spotyka, czy miał dziewczynę, itp.

Tak naprawdę Wiera Bałaczyńska straciła na Schucha poczucie rzeczywistości. Była przekonana, że następnego dnia również i jej Niemcy powybijają zęby, i skatują do nieprzytomności. Na Pawiaku siedziała w wieloosobowej celi. Jej współtowarzyszkami były kobiety w różnym wieku i różnych profesji.

Kiedy ostatni raz opuszczała celę była święcie przekonana, że już tam nie wróci i czeka ją rozstrzelanie. Zdjęła wtedy złotą obrączkę i dała jednej ze współwięźniarek mówiąc – *Może dzięki temu złotu uda się tobie przeżyć jeszcze kilka dni, a może i tygodni...*

Ku jej zaskoczeniu, po kilkugodzinnym przesłuchaniu dano jej przepustkę i wypuszczono na wolność. Pamiętała, jak tego dnia ktoś telefonował do prowadzącego przesłuchanie i pytał o nią. Być może był to ktoś, z kim rozmawiał wcześniej Brauer, który już pomógł w zwolnieniu jej męża.

Po opuszczeniu gmachu na Schucha była przekonana, że ktoś ją śledzi i obserwuje. Nie znając dobrze Warszawy, błąkała się po ulicach, parkach i dworcach. Wchodziła do bram różnych ulic, żeby wychodzić ukradkiem przejściami przez podwórka. Nieuchronnie zbliżała się godzina policyjna...

Bez pieniędzy, siedząc na dworcowej ławce, przypomniała sobie o ulicy Wilczej, gdzie jeszcze przed wojną znajdował się skład fabryczny jedwabiu z Chodakowa. Tam też udała się i po przedstawieniu się znalazła schronienie. Następnego dnia do Warszawy przyjechał po nią jej mąż i zawiózł ją do Chodakowa.

Podobno była już inną kobietą – od tej sprzed kilku tygodni. Cały czas bała się, że ktoś ją śledzi i obserwuje. Tego typu zachowanie stawało się nie do zniesienia i zaakceptowania przez otoczenie.

Jerzy Bałaczyński, widząc w jakim stanie jest żona, zawiózł ją wtedy w góry, do pensjonatu prowadzonego przez zaprzyjaźnione osoby. Miała zregenerować siły i powrócić do zdrowia.

Wjazd w góry okazał się bardzo dobry rozwiązaniem.

Po powrocie do Chodakowa, Wiera Bałaczyńska miała już zupełnie inne relacje z otoczeniem, lepsze samopoczucie i była bardziej opanowana.

W tym czasie syn dyrektora fabryki jedwabiu – Brauera zginął na froncie wschodnim. Nieszczęście jakie go spotkało, w jakimś stopniu zbliżyło emocjonalnie Brauera do dr. inż. Jerzego Bałaczyńskiego. Obaj bowiem stracili jedyne synów, obaj pracowali w fabryce i należeli do jej kierownictwa.

Podobno Brauer nie znał języka polskiego. Przynajmniej tak twierdził w rozmowach z podwładnymi. Kiedyś jednak słynący z najlepszego opowiadania kawałów inż. Hubert Jurjewicz, po opowiedzeniu jednego z nich o Niemcach odwrócił się gwałtownie i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył oddalającego się Brauera chichocącego jak małe dziecko. W pierwszej chwili oniemiał, ale później zrozumiał, że Brauer musiał jednak znać język polski, ponieważ śmiał się, aż mu ramiona falowały.

Jerzy Bałaczyński, po wyzwoleniu, wraz z innymi inżynierami i pracownikami fabryki przystąpił do uruchamiania produkcji jedwabiu. Czasy były ciężkie, brakowało surowców, części, maszyn i usprzętowania, jednak nikt nie szczędził sił i pracy, żeby produkcja jedwabiu mogła ruszyć jak najszybciej.

W niedługim czasie Jerzego Bałaczyńskiego oddelegowano do pracy w Jeleniej Górze. Znajdował się tam zakład o podobnym profilu produkcji, który również

trzeba było uruchomić. Wiera Bałaczyńska mieszkała jeszcze wtedy, w Chodakowie. Jednakże, po ciągłym dokwaterowaniu do jej mieszkania coraz to nowych współlokatorów, postanowiła pojechać do męża do Jeleniej Góry. Kilka lat później Jerzy Bałaczyński zachorował. Mimo najlepszej, jak na tamte czasy, pomocy medycznej Jerzy był coraz słabszy. Niestety, w niedługim czasie zmarł, a dokładnie dziewiątego stycznia 1951 roku.

Była to wielka strata, gdyż człowiek ten posiadał unikalną wiedzę o produkcji jedwabiu wiskozowego i jak mało kto miał wielki autorytet w Polsce i poza jej granicami. Trumnę ze zwłokami Bałaczyńskiego przewieziono do Chodakowa zwykłą ciężarówką. Takie wtedy były czasy... I każdy pojazd, nawet ciężarówka, był dobry do przewożenia zwłok. Pogrzeb w Trojanowie zgromadził setki pracowników chodakowskiego zakładu, marsza żałobnego grała orkiestra zakładowa, a na cmentarzu w Trojanowie trudno było zbliżyć się do rodzinnego grobu.



dr inż. Jerzy Bałaczyński

Wiera Bałaczyńska opuściła wtedy ostatecznie Chodaków, zabierając ze sobą nieliczne pamiątki rodzinne. W niedługim czasie otrzymała paszport i wyjechała do przyrodniej siostry do Londynu. Dla wielu było to wtedy wielkie zaskoczenie, bowiem otrzymanie paszportu w tamtych czasach graniczyło z cudem. Być może jednak fakt, że była rodowitą Rosjanką urodzoną w Odessie, pomógł jej w otrzymaniu paszportu.

Wiera pamiętała bardzo dobrze w jakich okolicznościach na początku lat dwudziestych trafiła do Polski. Wszystko wtedy odbywało się drogą dyplomatyczną i to na najwyższym szczeblu.

Jej mąż Jerzy Bałaczyński przyjechał do Polski w 1919 roku. Wiera Bałaczyńska miała przyjechać z synem zaraz po nim. Jednak tak się nie stało. Nie otrzymała na czas potrzebnych dokumentów i wszystko zostało stracone. Jak wspominała później, nie było jej łatwo. Bieda i brak finansowego wsparcia coraz bardziej dawały się we znaki. Zatrudniła się wtedy jako pomoc kuchenna w jednym z sierocińców. Po prostu, aby przeżyć...

W tym czasie Jerzy Bałaczyński opatentował w Polsce sposób rozbijania min i pocisków różnych produkcji z różnych krajów...

I jednym z warunków wdrożenia projektu do realizacji było zobowiązanie władz polskich do wszelkiej pomocy w sprowadzeniu Wiery Bałaczyńskiej wraz synem Igorem do kraju. Wszystko zakończyło się szczęśliwie i Wiera mogła spotkać się z mężem. Podobno została wymieniona za jeńców rosyjskich wziętych do niewoli podczas wojny bolszewickiej w 1920 roku. Po rozpoczęciu budowy fabryki jedwabiu, rodzina Bałaczyńskich przybyła w komplecie do Chodakowa. Ich syn Igor stał się wielokrotnie później tematem wielu anegdot i historii nie z tej ziemi. Był bardzo uzdolnionym chłopcem, o wielkiej fantazji i towarzysko uwielbiany. Kiedyś na przykład skonstruował specjalny rodzaj balii, którą pływał po Utracie. Znajomi Wiery mówili jej o Igorze pływającym w niewiadomo czym, na co Wiera odpowiadała za każdym razem, że to niemożliwe. I dopiero kiedy Władysław Wach, główny księgowy fabryki zaczął się kiedyś w krzakach i zrobił Igorowi zdjęcie, które pokazał Wierze, uwierzyła. Innym razem szarżował na motorze na

terenie stadionu, mając za pasażerkę koleżankę z osiedla i mało co zabiłby i koleżankę, i siebie podczas spotkania z drzewem.

Jak wspominałem, po śmierci męża Wiera Bałaczyńska wyjechała do Anglii.

Pobyt u rodziny w Londynie nie był jednak dla Wiery Bałaczyńskiej udany. Cały czas tęskniła za Polską oraz pozostałymi tutaj znajomymi i przyjaciółmi. W Londynie czuła się samotna i pozbawiona jakichkolwiek perspektyw. Przyrodnia siostra Wiery była od niej kilka lat młodsza. Ojciec Wiery zmarł w Odessie pod koniec dziewiętnastego wieku, a jej matka w niedługim czasie wyszła powtórnie za mąż. Kilka lat później jej matka urodziła córkę, z którą Wiera wspólnie się wychowywała. Podczas rewolucji jej młodsza siostra wyjechała z Rosji i na stałe osiadła w Wielkiej Brytanii. Po powrocie do Polski Wiera Bałaczyńska zamieszkała w Pabianicach. Podjęła pracę w szkole i uczyła języka rosyjskiego. Podobno była bardzo lubiana przez uczniów i szanowana przez grono pedagogiczne. Cały czas utrzymywała kontakt z wieloma osobami z Chodakowa. Były to przede wszystkim rodziny przedwojennych inżynierów a także – chodakowskich lekarzy.

Jedną z osób, którą stale namawiała, aby ją odwiedziła w Pabianicach, była Antonina Owczarek. Jak wspomina Pani Antonina – *w końcu zdecydowałam się pojechać...*

Pamiętam, jak szłam kilka kilometrów wzdłuż murów fabrycznych pod adres, który mi Wiera wcześniej podała. Była połowa maja 1964 roku. Niestety, spóźniłam się... Wiera Bałaczyńska już nie żyła. Zmarła kilka dni wcześniej i została pochowana na pobliskim cmentarzu komunalnym.

Pomyślałam sobie wtedy, dlaczego nie z mężem? Odpowiedź mogła być prozaicznie prosta, była sama i nikt w Pabianicach nie wiedział, że taka możliwość istnieje.

Państwo, którzy wynajmowali pokój Wierze Bałaczyńskiej powiedzieli mi, że pogrzeb miała piękny.

Była cała szkoła, mnóstwo kwiatów, wianek i wieńców i zniczy.

Szkoda tylko, że nie było na pogrzebie nikogo z Chodakowa – pomyślałam. Na pewno przyjechałoby mnóstwo znajomych i przyjaciół. Gdyby tylko wiedzieli...



Wiera Bałaczyńska we Włoszech, druga połowa lat 30-tych

Wiera Bałaczyńska, podobnie jak jej mąż, pochodziła z bardzo bogatej rodziny ziemiańskiej. Oboje byli dobrze wykształceni, znali kilka języków obcych i dużo podróżowali po przedwojennej Europie. Śmierć ich jedyne go syna Igora była dla obojga wielkim dramatem, z którym nigdy się nie pogodzili.

Czasem myślę, jak odszukać rodzinę Wiery Bałaczyńskiej w Wielkiej Brytanii. Dotychczas wszystkie tropy nie przyniosły oczekiwanej wiadomości. Może kiedyś otrzymam list i stare fotografie Wiery i Jerzego Bałaczyńskich, jeszcze z czasów ich pobytu w Rosji...

Wierzę głęboko, że tak się stanie...

ŻYDOWSKIE DZIECI

Po likwidacji sochaczewskiego getta, kilkunastu żydowskich chłopców ukrywało się w Chodakowie. Miejscem schronienia był stary parowy młyn przy ulicy Młynarskiej oraz Przystań Ligi Morskiej i Kolonialnej nad Bzurą. Mieszkańcy Chodakowa w większości pomagali ukrywającym się chłopcom, jednak z każdym miesiącem było to coraz trudniejsze i niebezpieczne.

Chłopcy przeważnie łapali ryby nad Utratą i Bzurą, pomagali w pracach polowych okolicznym rolnikom i trudnili się drobnym handlem.

Chodaków w tym czasie był znany nie tylko z produkcji jedwabiu. Produkowano tu także mydło i to w ilościach hurtowych, które później sprzedawano na targach i jarmarkach okolicznych miejscowości. Produkcją mydła trudnili się przeważnie ci mieszkańcy Chodakowa, dla których nie było pracy w fabryce lub zarabiali tam tak mało, że nie starczało im na utrzymanie rodziny. Chodakowskie zagłębie mydlane rosło w siłę dzięki sodzie kaustycznej niezbędnej do jego produkcji, a jej akurat było pod dostatkiem w fabryce jedwabiu. Jednym z miejsc, w którym wyrabiano mydło, był budynek poczty na ulicy Pocztovej. To tutaj w pomieszczeniach pralni przygotowywano cały proces produkcji, którego finalnym etapem było wlewanie przygotowanego wywaru do metalowych brytfanek używanych wcześniej do pieczenia ciasta. Zawsze w takiej pralni było ciepło i przytulnie. Tak więc żydowscy chłopcy przychodzili tutaj, aby wykąpać się, umyć i przespać w ciepłym pomieszczeniu.

Tak było jednak do czasu...

Po wykwaterowaniu mieszkańców z budynku chodakowskiej poczty i umieszczeniu tam Komisariatu Żandarmerii Niemieckiej wszystko diametralnie się zmieniło. Chodaków stał się coraz bardziej niebezpieczny dla żydowskich chłopców. Rzadziej też wychodzili z kryjówek, obawiając się aresztowania.

Jak wspomina Adolf Domański, żandarmeria, w skład której wchodziło kilkudziesięciu esesmanów, służyła do zadań specjalnych. Policja granatowa, a przy niej Niemcy w żółtych mundurach. Niemcy w żółtych mundurach pełnili

służbę lokalną. Nazywano ich „żółtkami”, nosili bowiem żółte spodnie, buty z cholewami i żółtą czapkę na wzór dawnej narciarki.

Był wśród nich żandarm nazwiskiem Schulz, dość tęgiej budowy, średniego wzrostu, puciołowaty, lat około trzydziestu pięciu. Jeździł na rowerze po okolicznych uliczkach i wypatrywał osób podejrzanych.

– Pewnego letniego dnia – wspomina pan Adolf Domański – Schulz zatrzymał się przy poręczy mostu na Utracie. Nie zsiadając z roweru obserwował chłopców brodzących po wodzie za rybami. Nikt na niego z łowiących ryby nie zwracał uwagi. Wreszcie upatrzył sobie jednego z chłopców. Trafił na młodego Żyda. Zawołał donośnym głosem, tak że wszystkie twarze chłopców zwróciły się na most. Kaburę z bronią miał przy pasie po lewej stronie, odpiął ją i zawołał po niemiecku: „Komm zu mir. Komm”. Chłopiec jak zahipnotyzowany powoli ruszył w jego kierunku.

– Jude? – zapytał głośno Schulz. Chłopiec nic nie odpowiadał, lecz tylko przytakiwał głową. Wtedy Schulz, nawet nie zsiadając z roweru, wskazał ręką kierunek i kazał chłopcu biec przed sobą w kierunku Sochaczewa. W Trojanowie pod murem cmentarnym wyjął pistolet i strzałem w tył głowy zastrzelił młodego Żyda.

W drodze powrotnej polecił sołtysowi z najbliższej wsi Kistki zakopać za murem żydowskie zwłoki. Kilka dni później w identyczny sposób zastrzelił innego żydowskiego chłopca. Pozostali chłopcy coraz bardziej unikali miejsc publicznych, lecz mimo to wszyscy zostali w niedługim czasie zabici. Miejscem egzekucji był zazwyczaj piaszczysty teren przylegający do cmentarza w Trojanowie, ze śladami wyrobisk po kopaniu piasku i żwiru, położony poniżej cmentarza.

DOKTOR STADLER

Jako jeden z niewielu miał przed wojną telefon domowy w Chodakowie.

Doktor Karol Stadler – lekarz medycyny, kierownik chodakowskiej ubezpieczalni.

Był podobno jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w okolicy.

Może i kobiety nie mdlały na jego widok, ale bardzo często nie kryły się z posyłaniem mu filuternych spojrzeń.

Był cenionym lekarzem, ale również bywalcem wielu inżynierskich rautów tutejszej elity.

Kiedy wybuchła wojna, ze względu na swoje żydowskie pochodzenie, opuścił Chodaków i wszelki ślad po nim zaginął.

Dopiero po wojnie, niecały rok po wyzwoleniu, zjawił się ponownie w Chodakowie i do tego jeszcze w mundurze oficerskim wojska polskiego.

Przystojny jak zawsze... Nasz pan doktor, obiekt westchnień i wielu złamanych kobiecych serc...

Zamieszkał na kilka dni w mieszkaniu Bałaczyńskich.

Kiedy rozeszła się wieść o przyjeździe doktora Stadlera do Chodakowa, wielu wcześniejszych jego znajomych chciało się z nim koniecznie spotkać i porozmawiać. Sam zainteresowany zadowolony z zainteresowania jakie budził, chętnie uczestniczył w takich spotkaniach. Wspominał wtedy, co się z nim działo w czasie wojny, jak przeżył i jak trafił do armii.

Podczas jednych z takich spotkań rozmawiał ze Stanisławem Królem, pełniącym obowiązki lekarza w przychodni Chodakowie.

I kiedy Stanisław Król zaczął pytać doktora Stadlera o swoich przedwojennych dowódców z wojska z Wileńszczyzny i o wielu innych znajomych z wojska służących w różnych jednostkach w kraju, Karol Stadler jakby zaniemówił.

Po prostu jakby stracił mowę.

- *Nie znam* – odpowiadał – *nie przypominam sobie, nie pamiętam...*

Z biegiem czasu Stanisław Król zaprzestał pytań o kolejne nazwiska, a Karol Stadler wydawał się coraz bardziej zakłopotany. Obaj panowie w pewnym

momencie zamilkli, jakby przeczuwając, jaka mogłaby być odpowiedź na stawiane pytania.

I tak oto bardzo rozmowny Karol Stadler zaczął być mniej rozmowny i zaprzestał ciągłych pytań o to, jak długo jeszcze może pozostać w Chodakowie u Bałaczyńskich. Zaczął zastanawiać się nad swoim wyjazdem.

Dwa dni później pan doktor wyjechał do Warszawy.

A później słuch o nim ponownie zaginał.

Byli tacy, którzy chcieli nawiązać z nim kontakt jeszcze w latach pięćdziesiątych. Niestety, bez skutku...

Podobno wyjechał do Izraela... I tam leczył się, aż do śmierci.

POTAŃCÓWKI NA PRYZYSTANI

Odbywały się przeważnie w soboty i niedziele, i zawsze cieszyły się dużym zainteresowaniem. Tańczyli i młodszy, i starsi. Orkiestra przygrywała różne mniej lub bardziej skoczne kawałki, a echo wzdłuż wód Bzury niesło dźwięki akordeonu, trąbki, perkusji i gitary.

Miejscem do tańca była drewniana scena niedaleko pomostu.

Tuż obok stały stoliki i krzeselka. A w bufecie, jak to w bufecie, kłębił się tłum spragnionych trunku i zakąski. Często na takie potańcówki przychodziły także i dzieci. Siadały wtedy zazwyczaj nad wodą i przyglądały się tańczącym. Muzyka zawsze przyciągała wielu i była dla nich jak magnes, i spełnienie marzeń.

- Kiedyś - wspomina pani Alina Pawlina - *pobiegłam zobaczyć, jak tańczy na przystani z chłopakiem moja siostra. Pamiętam, jak przez dziurkę po drewnianym sęku w desce na ścianie podglądałam ich i chciałam zatańczyć tak, jak oni...*

Osoby bawiące się na Przystani w większości pracowały w fabryce. Zazwyczaj ci, którzy byli członkami Ligi Morskiej i Kolonialnej, mieli specjalne zniżki. Teren Przystani był zadbany i stale pielęgnowany. Miejsce to było dla wielu oazą spokoju, tu regenerowano siły po pracy i wypoczywano.



Na tarasie przystani Ligi Morskiej Kolonialnej w Chodakowie nad Bzurą, lata 30-te



Widok na rzekę Bzurę z Przystani, lata 30-ste

Bardzo modne było żeglowanie po Bzurze, a w upalne dni rodzinne kąpiele i wygrzewanie się na żółtym piasku. Czasem także siedzenie w cieniu na ławeczce i przyglądanie się kąpiącym.



W kąpiel, Przystań Ligi Morskiej i Kolonialnej w Chodakowie, lata 30-ste

SPACERY NAD UTRATĄ

Nad brzegiem Utraty, podobnie jak nad Bzurą, pobudowano drewniany pomost a zacumowane przy nim łódki czekały na amatorów letnich spacerów wodnych. Najbardziej popularną trasą był odcinek od mostu przy Młynie Repsza w kierunku Żelazowej Woli.

Spiętrzone wody rzeki świetnie nadawały się do żeglugi, a i chętnych nie brakowało. Teren ten dla mieszkańców osiedla fabrycznego stanowił swoistą oazę spokoju.



Stanisław i Anna Linsebardt z przyjaciółmi, lata 30-ste

Bliskość Utraty była dla wielu zbawieniem. Pobliscy mieszkańcy, wychodząc z mieszkania, po przejściu terenu wokół folwarku, znajdowali się nad brzegiem rzeki. A tu rechot żab, śpiew ptaków, przezroczysta woda i widok ryb płynących przy szuwarach. Cóż więcej trzeba, aby zregenerować siły i odpocząć?



W tle most na Utracie, lata 30-ste



Odoczynek nad brzegiem Utraty, lata 30-ste



Fotografia zbiorowa nad Utratą, lata 30-ste



Pracownicy Fabryki Jedwabiu podczas spaceru nad Utratą, lata 30-ste

ZABAWY LUDOWE W LASKU CHODAKOWSKIM

Wśród wielu atrakcji w przedwojennym Chodkowie bardzo dużą popularnością cieszyły się Zabawy Ludowe organizowane w LUNA PARKU w Lasku Chodakowskim. Teren ten znajdował się na końcu obecnej ulicy Wodociągowej ciągnącej się w kierunku Bzury. Tamtejszy laszek świetnie nadawał się na organizowanie zabaw i innych imprez rozrywkowych. Do Chodakowskiego Lasku prowadziła droga, po której obu stronach rosły stare drzewa, a wśród których dominowały stare lipy – podobne do tych z traktu prowadzącego do Żelazowej Woli. Zabawy Ludowe były organizowane przeważnie przez Zespół Orkiestry Dętej Pracowników Fabryki „Chodaków” w okresie letnim, w każdą niedzielę i święto.



Fotografia z Chodakowskiego Lasku

Jedną z pierwszych zabaw zorganizowano wiosną 1930 roku, a dochód z opłat za wejście do Lasku był przeznaczony na sfinansowanie biblioteki rzemieślniczej przy fabryce „Chodaków” oraz utrzymanie tutejszej orkiestry dętej.

Wejście do Lasku kosztowało 75 groszy – osoby dorosłe, a 50 groszy – młodzież i wojskowi.

Program Zabawy był następujący:

1. Sala Tańca z udziałem orkiestry smyczkowej.
2. Orkiestra Dęta pracowników fabryki „Chodaków” pod kierownictwem pana Stolarskiego.
3. Kosz szczęścia wygrywający różne fanty.
4. Kołowrót na cztery osoby (katakta).
5. Kolejka Powietrzna.
6. Teatr Letni wraz kinematografem.
7. Różne Atrakcje – stopniowo będą przybywać.
8. Park naświetlony instalacją elektryczną.
9. Bufet na miejscu obficie zaopatrzone.

Dla wygody publiczności zorganizowana została komunikacja końmi z Sochaczewa (Rynek Kilińskiego) do Chodakowa i z powrotem – od godziny drugiej po południu do jedenastej wieczorem. Przejazd w jedną stronę kosztował 50 groszy.

WIELKA ŚLIZGAWKA

Podobnie jak Zabawy Ludowe w LUNA PARKU organizowane latem w Lasku Chodakowskim, niesłychanie dużym zainteresowaniem cieszyły się tzw. Chodakowskie Ślizgawki organizowane zimą przez Klub Pracowników Fabryki „Chodaków”. W dni powszednie Wielka Ślizgawka była czynna od godziny czwartej po południu do dziesiątej wieczorem, a w soboty, niedziele i święta od godziny drugiej po południu – także do dziesiątej wieczorem. Zawsze podczas Ślizgawki przygrywała fabryczna orkiestra. Łyżwy wynająć można było na miejscu i, jak zachwalano, czynna była również cieplarnia dla publiczności. Wstęp na Ślizgawkę kosztował 50 groszy od osoby dorosłej, a dla wojskowych uczniów i dzieci – 25 groszy. Oświetlenie elektryczne wliczone było oczywiście w cenę.



Przy chodakowskiej ślizgawce, lata 30-te



Chodakowska ślizgawka, lata 30-te

Ślizgawki organizowano w Parku Sportowym w Chodakowie do 1939 roku. Wraz z wybuchem wojny w 1939 roku skończyły się i ślizgawki, i zabawy ludowe. Fabryka przeszła w ręce niemieckie i nikt nie myślał już o zabawach, konkursach czy loteriach.

KOT NA ETACIE

Wśród wielu ciekawych historii, ta o kocie na etacie wydaje się nie do wyobrażenia...

A jednak!

Był sobie kot, który należał dawno temu do Janusza Błażejewskiego. Janusz Błażejewski miał wtedy kilka lat, a ile lat miał kot – tego się raczej nie dowiemy.

Pewnego razu kot zniknął ku rozpaczy dziecka i rodzice nie wiedzieli, jak tej rozpaczy zaradzić...

I okazało się wtedy, że kot dostał etat w fabryce jedwabiu w Chodakowie! W zakresie obowiązków miał łapanie myszy, których było podobno co niemiara. Zawsze na koniec miesiąca Henryk Błażejewski przynosił do domu wypłatę kota a mały Janusz był niezwykle dumny ze swojego pupila.

– Kiedy dzisiaj wspominam tę historię – opowiada Janusz Błażejewski – dziwię się, że uwierzyłem w to wszystko, co wymyślili moi rodzice. Ale wtedy była to dla mnie niesamowita historia i byłem niesłychanie dumny z mojego kota. „Skoro kot dostał pracę w fabryce, to może i ja kiedyś będę tam pracował” – pomyślałem. Marzenia się spełniły i po wielu latach przyszedł w końcu taki dzień, w którym przekroczyłem progi fabryki.

STACJA KOLEJOWA CHODAKÓW

Powstała wraz rozpoczęciem produkcji jedwabiu wiskozowego w Chodakowie, w 1928 roku. Kolejka wąskotorowa przewoziła w tamtych czasach rokrocznie wiele tysięcy pracowników zakładu z pobliskich miejscowości i stanowiła jeden z najpункtualniejszych środków przewozu. Jadąc z Sochaczewa w kierunku Chodakowa, zwalniała na Kistkach oraz przy ulicy Bohaterów. Zawsze zimą między wagonami, w specjalnych piecykach, palono węglem, żeby pasażerowie nie zamarzli w czasie podróży. Czas płynął powoli, tak jak jechała kolejka, ale jakoś to wtedy nikomu nie przeszkadzało.

Dzisiaj podróż kolejką wąskotorową stanowi jedną z wielu atrakcji Sochaczewa. Kolejka przypomina nam o czasach naszych babć i dziadków i jest ciekawym sposobem na przekazywanie dzieciom i wnukom wielu rodzinnych historii, często z nią związanych.



Kazimierz Ulmer (pierwszy z prawej strony) z przyjaciółmi na przystanku kolejki wąskotorowej w Chodakowie, lata 30-ste



Stacja kolejki wąskotorowej, koniec lat 50-tych

Przejazd kolejką wąskotorową z Chodakowa do Sochaczewa był jeszcze do połowy lat siedemdziesiątych podstawowym środkiem komunikacji, wtedy jeszcze między dwoma miastami.

Bilet można było kupić na stacji Chodaków, która niestety nie była remontowana od czasów przedwojennych. Zawilgocone ściany, odpadający tynk, a z czasem i przeciekający dach, nie był niestety dobrą wizytówką Chodakowa. Z końcem lat siedemdziesiątych budynek chodakowskiej stacji został rozebrany i dzisiaj nie ma już po nim żadnego śladu.

Będąc małym chłopcem, jeździłem z rodzicami kolejką do puszczy kampsoskiej na grzyby. Pamiętam, jak braliśmy ze sobą wiklinowe kosze, które prawie zawsze w drodze powrotnej były pełne i pachniały grzybami. Później razem z babcią

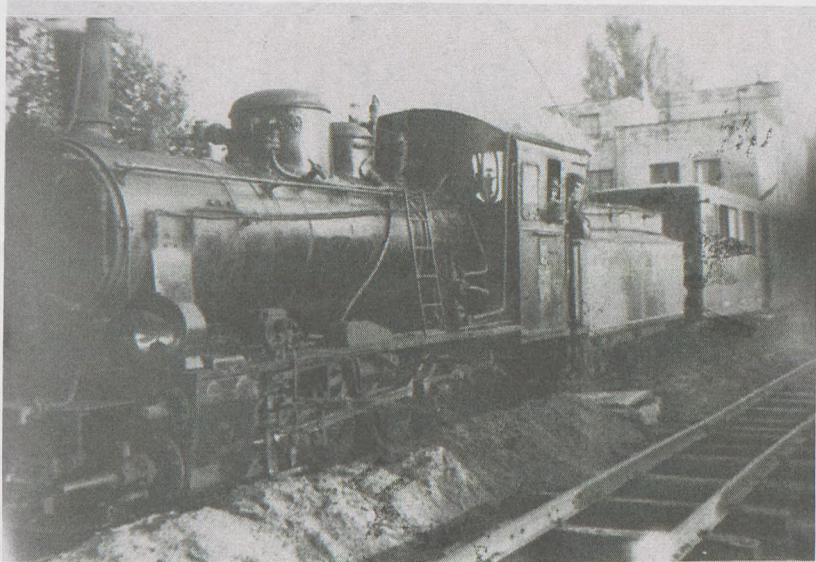
przygotowywałem zalewę octową i marnowaliśmy borowiki, podgrzybki czy gąski.

Często jadąc dzisiaj kolejką wąskotorową do stacji Wilcze Tułowskie, przypominam sobie dziecięce lata.

Kolejka niby taka sama i las ten sam, a jednak zupełnie inna...



Kazimierz Ulmer na rowerze, wzdłuż torów kolejki wąskotorowej, lata 30-te



Na stacji kolejki wąskotorowej w Sochaczewie, koniec lat 60-tych

JAN PIEKAŁKIEWICZ - MIESZKANIEC CHODAKOWA

Kiedy zadzwoniła do mnie Hanna Etemadi z prośbą o pomoc w realizacji filmu dokumentalnego o Janie Piekałkiewiczu, poczułem się nieco zaszczycony. Jedną z najbardziej utytułowanych polskich reżyserek i scenarzystek, ikona polskiego filmu dokumentalnego otrzymała właśnie środki na realizację filmu o tej niezwyklej, a jednocześnie zapomnianej postaci państwa polskiego. Jedyny mankament to czas realizacji przedsięwzięcia. Film musi powstać w niespełna jeden miesiąc, a to wcale nie jest takie proste...

Zazwyczaj w takich sytuacjach wszystko nabiera niesamowitego tempa. Rozmowy i spotkania, spotkania i konsultacje, nagrywanie materiałów, analiza i korekty dokumentów, i wiara w końcowy efekt. Kiedy ekipa polskiej telewizji przyjeżdża do Chodakowa, ma już ściśle określony plan poszczególnych ujęć filmowania miejsc związanych z Janem Piekałkiewiczem oraz rozmów o związkach Jana Piekałkiewicza z Chodakowem.

Na początku dworek, w którym mieszkał Jan Piekałkiewicz, później ruiny fabryczne a na koniec filmowanie starych fotografii i dokumentów z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

Ciastka smakują wybornie, kawa i herbata do wyboru, wyśmienite są jabłka w cieście przygotowane przez panią Hannę Etemadi. Podczas kręcenia wspomnień o Janie Piekałkiewiczu, niezwykle wzruszony jest Mieczysław Gradowski, który pamięta z lat dziecięcych dyrektora administracyjnego fabryki ujeżdżającego konie z pobliskiego folwarku. To nikt inny jak Jan Piekałkiewicz, zięć prezesa fabryki.

Dzisiaj trudno w to uwierzyć, że tak wybitna postać mieszkała kiedyś w Chodakowie i prawie nikt o tym fakcie nie pamięta...

A przecież codziennie w latach trzydziestych dwudziestego wieku, podobnie jak wielu innych pracowników fabryki jedwabiu, Jan chodził alejkami do pracy. Przychodził na mecze chodakowskiej „Bzury”.

Mieszkał w pałacu wraz ze swoim teściem Józefem Krzyżanowskim oraz teściową Anielą.

W 1928 roku poślubił córkę prezesa Julię Krzyżanowską, którą poznał w Głównym Urzędzie Statystycznym w Warszawie.

Na początku lat trzydziestych został dyrektorem administracyjnym fabryki, a po śmierci Józefa Buzka, jednego z głównych polskich akcjonariuszy chodakowskiej fabryki, został jej akcjonariuszem i członkiem zarządu.

Bardzo lubił konie, często można było zobaczyć go, jak je ujeżdża i gna na nich nad brzegiem Utraty oraz drogą w kierunku Żelazowej Woli.

Podczas jednej z takich gonitw koń zrzuca jeźdźca i ciągnie go za sobą. Mimo lekkich obrażeń, już po kilku dniach, znowu wsiada na konia i gna przed siebie.

Jan Piekałkiewicz uczestniczył w wielu chodakowskich uroczystościach i spotkaniach biznesowych na terenie fabryki. Aktywnie wspierał tutejsze koło Ligi Morskiej i Kolonialnej w pobudowaniu przystani nad Bzurą.

Na początku września 1939 opuścił Chodaków i udał się z żoną do Warszawy.

Nie przeczuwał, że w połowie miesiąca, podczas jednego z nalotów, jego żona Julia straci życie. Przeżył to bardzo mocno. W jednej chwili stracił ukochaną osobę. Nie miał dzieci, tak więc pozostała mu tylko rodzina ze strony jego braci.

Późniejszy Delegat Rządu Londyńskiego na Kraj.

Zamordowany przez Niemców w 1943 roku.

Film, pt. „Delegat” w reżyserii Hanny Etemadi, jest wspaniałym dokumentem przedstawiającym postać wybitnego naukowca, ekonomisty i polityka.

Jan Piekałkiewicz został pochowany na warszawskich Powązkach.

KILOGRAM ROZMAITOŚCI

W okresie międzywojennym niedaleko fabryki jedwabiu w Chodakowie prowadził swój sklep wędliniarski pan Piotr Zuchora. Posiadał także własną ubojnię oraz zakład masarski, tak więc wędliny, jakie sprzedawał, zawsze były świeże i smaczne.

Jako pierwszy w Chodakowie zainstalował w sklepie maszynę do krojenia wędlin, tak więc pojedyncze plasterki były niezwykle cienkie jak na ówczesne czasy. Niektórzy nawet mówili, że można było się w nich przegłędać, ale nie to chyba było najważniejsze. Jednym ze sztandarowych zestawów w sprzedaży u Zuchory był tak zwany „kilogram rozmaitości”, w skład którego wchodziła: szynka, baleron, boczek, kaszanka, czarny, pasztetowa i salceson. Wszystko oczywiście idealnie pokrojone, a ponieważ w fabryce pracowali ludzie z różnych stron Polski, dochodziło nieraz do bardzo zabawnych sytuacji związanych z nazewnictwem wyrobów masarskich.

Kiedyś na przykład, przyszedł do sklepu klient i poprosił o pół kilograma „fiuta”. Oczekujący w kolejce zaczęli się śmiać, a i sprzedający był nieco zakłopotany. Później okazało się, że tak zwany „fiut” to nic innego, jak salceson brunszwicki i wszystko stało się jasne i proste...

PAN KLUGE I MALINOWSKI

Wśród wielu sklepów – wcześniej już opisanych w mojej pierwszej książce „Wspomnienia z dawnego Chodakowa” – na uwagę zasługuje jeszcze kilka kolejnych...

Tak w ogóle sklepów wędliniarskich i spożywczych w przedwojennym Chodakowie było kilkanaście, usytuowanych często jeden za drugim. Mimo konkurencji, każdy z powodzeniem sprzedawał swoje wyroby oraz inne produkty spożywcze i przemysłowe, a i sprzedawcy byli zadowoleni z utargów, które osiąkali. Najstarsi mieszkańcy Chodakowa wspominają czasem jeszcze sklep spożywczy i wędliniarnię należąca do Antoniego Kluge oraz sklep spożywczy Kazimierza Malinowskiego.

Sklep pana Kluge mieścił się na ulicy Chopina, niedaleko ulicy Staszica (obecnie Chodakowska) w kierunku do Sochaczewa. Obok był jeszcze sklep i wędliniarnia pana Józefa Starzyńskiego oraz sklep spożywczy należący do rodziny Owczarków. Sklep Kazimierza Malinowskiego mieścił się przy ulicy Kolejowej. To w jego pobliżu zatrzymywała się zawsze kolejka wąskotorowa jadąca z Sochaczewa do Chodakowa, tak więc oczekujący na kolejkę i śpieszący do pracy pracownicy fabryki jedwabiu mogli wcześniej dokonać niezbędnych zakupów.

Własne wyroby wędliniarskie, świeże pieczywo i uprzejma obsługa były w tamtych czasach codziennością, a ponieważ Chodaków rozwijał się bardzo dynamicznie, cały czas przejeżdżali tutaj chętni z różnych rejonów Polski w celu podjęcia pracy w fabryce i zamieszkania w jej najbliższej okolicy.

Sklep Antoniego Kluge w okresie powojennym przejęła jego córka Zofia wraz mężem Janem Bartosiakiem.

W pobliżu w/w sklepu mieścił się jeszcze skład węgla pana Sydry, który sprzedawał węgiel na kubełki po 10 kg. Na osiedlu fabrycznym zaś znajdował się sklep pani Murawskiej.

Trudno nie wspomnieć fryzjera, pana Ziółkiewicza oraz szewca o nazwisku Wilk i Pływaczewski.



Antoni Kluge z rodziną, lata 30-te



Kazimierz Malinowski przed wejściem do sklepu, lata 40-te

KSIĄDZ JAN BOGUSZ – PROBOSZCZ Z TROJANOWA

Urodził się 18 lutego 1903 roku w Suchowoli. W powiecie łukowskim. Po ukończeniu warszawskiego seminarium duchownego, został wikariuszem w wielu parafiach.

W drugiej połowie latach trzydziestych trafił do Trojanowa, gdzie objął funkcję proboszcza.

To właśnie jemu parafianie zawdzięczają budowę charakterystycznych schodów prowadzących w dół od trojanowskiego kościoła do drogi łączącej Chodaków z Sochaczewem. Doprowadził także do elektryfikacji dóbr kościelnych i zamontował organy, które służą do dnia dzisiejszego.

We wrześniu 1939 roku był kapelanem w szpitalu wojskowym w Chodakowie i Trojanowie podczas Bitwy nad Bzurą.



Ksiądz Jan Bogusz przy organach w Trojanowie

W 1942 roku ksiądz Jan Bogusz opuścił Trojanów i został proboszczem w Żukowie koło Milanówka. Dwa lata później został proboszczem w Warszawie w parafii św. Wawrzyńca.

Przez cały okres okupacji aktywnie uczestniczył w pracach konspiracyjnych. Brał też czynny udział w Powstaniu Warszawskim.



Ksiądz proboszcz Jan Bogusz przed kościołem w Trojanowie, lata 30-te

Dokładnie nie wiadomo kiedy opuścił Polskę. Wiadomo tylko, że był to 1945 rok. Po 1945 roku bowiem przebywał we Włoszech, gdzie został żołnierzem Drugiego

Korpusu. Rok później przyjechał do Anglii. W tym czasie często wyjeżdżał do Rzymu, Francji i Szwajcarii.

Pracował na Uniwersytecie Maynorth w Irlandii, a później w katolickim Uniwersytecie w Waszyngtonie. W końcu osiedlił się w Stanach Zjednoczonych. Trafił do archidiecezji w Seattle, gdzie został kapelanem w tutejszym szpitalu. Obywatelstwo amerykańskie otrzymał 20 marca 1957 roku. W latach 1966 - 1974 pełnił obowiązki proboszcza w Bellingham. Po przejściu na emeryturę, wyjechał do Arizony. W niedługim czasie wrócił jednak do Seattle i zamieszkał w domu starców prowadzonym przez siostry zakonne.

Zmarł w szpitalu 29 listopada 1989 roku i został pochowany na cmentarzu Calvary w Seattle.



Komunia - fotografia zbiorowa, Trojanów, lata 40-ste

KSIĄDZ PROBOSZCZ CZESŁAW OSZKIEL Z BROCHOWA

Przeglądając stare fotografie z Chodakowa na wielu z nich można zobaczyć księdza w otoczeniu osób z elity chodakowskiej fabryki.

Jak się patrzy na tę starą fotografię pierwszy raz, natychmiast przychodzi na myśl pytanie: skąd pochodzi ksiądz na tych fotografiach i z jakiej jest parafii? Później przychodzi odpowiedź i okazuje się, że świat wcale nie jest taki odległy i zapomniany. To ksiądz proboszcz Czesław Oszkiel z pobliskiego Brochowa. Jak zawsze uśmiechnięty, czasem zatroskany, jakby chciał nam coś dzisiaj jeszcze powiedzieć... Spogląda na nas z tych starych fotografii, podobnie jak wtedy – przeszło osiemdziesiąt lat temu. Urodził się 19 lipca 1889 roku na Warszawskiej Pradze. Do Brochowa przyjechał pod koniec kwietnia 1927 roku.

Jak wspomina Marta Przygoda-Stelmach, to dzięki jego staraniom i wysiłkowi dokończono po pięciu latach odbudowę kościoła obronnego w Brochowie.

Świadczy o tym dokument z 1929 roku, a odnaleziony w 2008 roku podczas remontu mensy w tutejszym kościele. Dokument spisano 15 sierpnia 1929 roku, podczas aktu konsekracji dokonanego przez Jego Ekscelencję Księdza Biskupa Polowego Wojsk Polskich i Sufragana Warszawskiego dr Stanisława Galla. Wśród wielu podpisów pod dokumentem można znaleźć podpis księdza proboszcza Czesława Oszkiela oraz jego siostry Eugenii z Oszkielów Bielawskiej.



ksiądz Czesław Oszkiel z przyjaciółmi z Chodakowa, lata 30-te



Fotografia zbiorowa, Chodaków, lata 30-ste

W 1934 roku ksiądz Czesław Oszkiel opuścił Brochów i został proboszczem w parafii w Tarczynie. Podobnie jak w Brochowie podjął się renowacji tutejszego kościoła oraz pobudował dom parafialny.

W czasie wojny został aresztowany za współpracę z niepodległościowym Podziemiem i został zamordowany 18 marca 1944 roku.

Pamięć o księdzu Czesławie Oszkielu jest cały czas żywa i na nowo odkrywana. Był wspaniałym człowiekiem, godnym szacunku i zaufania, i takim zapamiętali go ludzie, z którymi przebywał...

BROCHOWSKA KARCZMA

Brochowska karczma słynęła z dobrego jadła i dobrej popitki.

Kiedy dokładnie powstała, nie wiadomo. Niektórzy mówią, że istniała od zawsze, ale jak było naprawdę, tego się raczej nie dowiemy.

Prawdą jest natomiast, że nieruchomość tę kupiła tuż po pierwszej wojnie światowej jedna z rodzin zamieszkała w pobliskim Janowie.



Przed wejściem do karczmy w Brochowie, lata 30-te

W okresie międzywojennym karczmę prowadziła wraz z mężem Józefa Zawadzka. Nie była rodowitą brochowianką. Urodziła się w Kałudze, tam ukończyła szkoły, wyszła za mąż i urodziła syna.

Syn służył wiele lat w armii carskiej i gdyby nie pierwsza wojna światowa służyłby w niej o wiele dłużej. Jak to w carskim wojsku. Nawet i dwadzieścia pięć lat...

W 1936 roku część budynku karczmy uległa spaleni, jednak w niedługim czasie została odbudowana. Drugi pożar miał miejsce w trakcie kampanii wrześniowej w 1939 roku kiedy to spłonęła doszczętnie.

Dzięki pobudowaniu trasy kolejki wąskotorowej z Sochaczewa do Wyszogrodu, Brochów był odwiedzany nie tylko przez osoby zamieszkałe w okolicy...

Rozwój turystyki regionalnej przyczynił się do większej ilości osób odwiedzających Brochów oraz pobliską Żelazową Wolę. Karczma stawała się wtedy idealnym miejscem do odpoczynku, zregenerowania sił oraz zjedzenia smacznego posiłku złożonego z potraw regionalnych.

Dzisiaj pamięć o starej brochowskiej karczmie stopniowo zanika.

A przecież od wieków była ona miejscem spotkań okolicznej ludności, świadkiem wielu wydarzeń, o których pisano w kronikach, a które często przekazywano z pokolenia na pokolenie.

MŁYN WODNY W CHODAKOWIE

„Kochanym Repszom

z wyrazami uwielbienia i przyjaźni – Aleksander Zelwerowicz”

Chodaków 26.05.1947 r.

Od niepamiętnych czasów nazywany jest młynem Repszów.

A przecież, tak naprawdę dopiero w 1906 roku Karol Repsch kupił młyn wraz z okolicznymi ziemiami.

Pierwsze wzmianki o młynie nad Utratą sięgają końca szesnastego wieku, a kolejne końca wieku osiemnastego. Jak młyn wyglądał w tamtych czasach – nie wiemy. Nie zachowała się bowiem żadna rycina, akwarela czy chociażby zwykły rysunek.



Karol Repsch z rodziną

Karol Repsch miał trzech synów: Zygmunta, Alfreda i Edwarda oraz córkę Otylię. Wraz z żoną Zofią z domu Mohn (po przyjeździe na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku ze Skierniewic do Chodakowa) postanowili swoje dalsze

życie związać właśnie z Chodakowem. W tamtych czasach w tej zapomnianej przez wszystkich miejscowości, życie płynęło powoli i tak naprawdę nic takiego nie działo się tutaj, co mogłoby być gdziekolwiek odnotowane i zapisane. Chodakowski folwark w ówczesnym czasie niczym nie różnił się od wielu innych, a podróż do pobliskiego Sochaczewa była dla wielu jak podróż do wielkiego świata...

To właśnie dzięki Karolowi Repsch zelektryfikowano część miejscowości, rozbudowano stary dziewiętnastowieczny młyn, sprowadzono nowe urządzenia, poprawiono tak zwany mały mostek na Utracie oraz okoliczne drogi.

Dwa murowane mosty postawili Repszowie dopiero w latach czterdziestych dwudziestego wieku.



Rodzina Repszów, początek lat 20-tych

Niestety 26 stycznia 1914 roku Karol Repsch tragicznie umiera z powodu zaccadzenia w kotłowni w młynie. Razem z nim traci życie jeden z pracowników młyna o nazwisku Kossut, zamieszkały w pobliskim Mokasie.

Cztery lata później, 9 października 1918 roku umiera na gripę, tzw. „hiszpankę” Edward Repsch, ku rozpaczy matki oraz dwóch braci i siostry. Edwarda pochowano obok ojca, na cmentarzu w pobliskim Trojanowie.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę synowie Karola Repscha, Zygmunt i Alfred postanowili wydzierżawić młyn w Chodakowie żydowskiej rodzinie Mune z pobliskiego Sochaczewa.

Zygmunt, nazywany Starszym Repszem, przez cały czas mieszkał z rodziną w Chodakowie. Alfred przeniósł się do Warszawy, gdzie wraz ze współnikami prowadził firmę o nazwie WORP, jako skrót o nazwisk: Wyżykowski, Olszewski, Repsz i Preder.

W latach dwudziestych dwudziestego wieku Zygmunt Repsz był jednym z inicjatorów budowy gimnazjum w Sochaczewie (obecne liceum im. Fryderyka Chopina) oraz szkoły powszechnej w Chodakowie.

Ożenił się z Zofią z rodziny Borken-Hagen pochodzącą z Bednar niedaleko Łowicza. Rodzina żony Zygmunta Repsza była właścicielem młyna wodnego w Bednarach i uchodziła za stateczną i bogatą w okolicy.

Zygmunt Repsz – osoba o wielkim sercu, wyjątkowo uczynna i każdemu pomocna.

Alfred Repsz w odróżnieniu do swojego brata był osobą niezwykle towarzyską, bardziej energiczną, przysparzającą sobie wielu znajomych i przyjaciół. Jak mówili niektórzy *był jak wodzirej na balu, uśmiechnięty, towarzyski i pełen społecznej energii oraz inicjatywy*. To dzięki niemu powstał w 1928 roku Klub Wędkarski, przekształcony pięć lat później w Sportowe Koło Wędkarskie w Chodakowie. W okresie międzywojennym oprócz firmy WOPR prowadził firmę transportową pod nazwą Koncesjonowane Biuro Przewozu Towarów Alfred Repsz. Firma przewoziła różne towary na terenie Polski, w tym jedwab wiskozowy z pobliskiej fabryki jedwabiu z Chodakowa.

15 czerwca 1935 roku Alfred Repsz poślubił w Warszawie Henrykę Kwiek z Sochaczewa. Uroczystość odbyła się – ze względu na różnicę wyznań państwa młodych – dwukrotnie: w kościele ewangelickim przy ulicy Królewskiej oraz w Kościele Katolickim pod wezwaniem Trzech Krzyży przy Krakowskim Przedmieściu.

Henryka i Alfred Repszowie mieli dwoje dzieci, Alinę i Wojciecha.

Po zakończeniu działań wojennych we wrześniu 1939 roku i utworzeniu przez okupanta getta w Sochaczewie rodzina Mune (dzierżawiąca chodakowski młyn) została do niego przesiedlona.

I tak oto Zygmunt i Alfred Repsz w okresie okupacji zaczęli sami prowadzić młyn. Nie był to okres łatwy, ale rodzina Repszów podjęła ten trud.

Pracowników nie brakowało. Przeważnie byli to mieszkańcy Chodakowa i okolicznych miejscowości.

W młynie pracowali także Ukraińcy, którzy przybyli w poszukiwaniu pracy.



Alfred Repsz z pracownikami przed wejściem do młyna w Chodakowie, początek lat 40-tych

Jak bardzo Zygmunt i Alfred Repsz czuli się Polakami świadczyć może fakt, że w 1937 roku zmienili pisownię nazwiska z niemieckiej Repsch na polską Repsz i przez cały czas uczestniczyli w działalności konspiracyjnej na terenie powiatu sochaczewskiego. Niemcy wielokrotnie namawiali rodzinę Repszów do podpisania volkslisty, jednak za każdym razem spotykali się z odmową.

Nie bez przyczyny w czasie okupacji miejsce to było jednym z głównych ośrodków działalności konspiracyjnej na terenie Sochaczewa. Ukrywali się tu Żydzi, żołnierze, partyzanci i inne osoby potrzebujące pomocy. Jedną z osób, spośród wielu zamieszkujących młyn, była rosyjska artystka Jelina Kozłowska,

kobieta o wybitnie arystokratycznych manierach. Madame Jelina, bo tak ją nazywano, uczyła dzieci i młodzież języka francuskiego. W młynie mieszkała aż do śmierci.

Jak wspomniałem, osób zamieszkujących młyn było wiele. I trzeba było ich wszystkich wyżywić, co nie było wcale takie łatwe. Co prawda mąka była na miejscu a w okresie letnim znalazły się na talerzu i warzywa, i owoce. Ale dla ukrywających się tu osób nie był to wcale beztroski okres. Najciężej było jesienią i zimą, ale rodzina Repszów starała się jak mogła.

Dzisiaj trudno byłoby zliczyć, ilu ludziom Repszowie pomogli w okresie okupacji, ile istnień ludzkich ocalili przed nieuchronną śmiercią...

Często, podczas ukrywania tak wielu osób, zdarzały się i komiczne sytuacje. Jedną z nich był nakaz obierania ziemniaków dla całej społeczności szukającej schronienia w młynie, co w przypadku artystki Jeliny nie od razu było do zaakceptowania!

W okresie okupacji przebywał w młynie pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski, a po wybuchu powstania warszawskiego wybitny aktor teatralny i kinowy Aleksander Zelwerowicz.



Juliusz Kaden-Bandrowski i Alferd Repsz z córką Aliną Repsz

Juliusz Kaden Bandrowski trafił do Chodakowa na zaproszenie Jana Biłka, szwagra Alfreda Repsza, który pracował wcześniej w Wydziale Kultury Miasta

Stołecznego Warszawy. Wraz z Juliuszem w chodakowskim młynie przebywali: Jan Starczewski, Karol Zawodziński oraz Juliusz Bogdanowicz, przedwojenny rektor ASP w Warszawie.



Juliusz Kaden-Bandrowski z rodziną Repszów w Chodakowie

Aleksander Zelwerowicz w okresie od sierpnia 1944 roku do lutego 1945 roku wielokrotnie odwiedzał chodakowski młyn.

Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, mieszkał na pobliskim Strzyżewie. Aktywnie włączył się w pracę Rady Głównej Opiekuńczej działającej w pobliskim Sochaczewie, która pomagała uchodźcom z Warszawy. Liczbę uchodźców szacowano na początku na 35 tysięcy, później już na 75 tysięcy osób.

W związku z niechętnym stosunkiem właścicieli dworu w Strzyżewie do uciekinierów z Warszawy, Aleksander Zelwerowicz zorganizował schronisko dla osób starszych w pobliskim Mokasie, na terenie szkoły, gdzie również sam zamieszkał. Wielokrotnie przebywał pieszo drogę z Mokasu do Sochaczewa i z powrotem przynosząc w plecaku chleb i inne artykuły spożywcze. Często po pięć lub sześć razy dziennie przemierzał tę drogę i sam się wielokrotnie dziwił, że jeszcze to wszystko wytrzymuje.

W tym czasie przybył z Warszawy do Chodakowa doktor Jerzy Rowiński, który leczył wszystkich potrzebujących pomocy. Śmiertelność wśród uchodźców była

bardzo duża. Tych, którzy znaleźli schronienie w Mokasie i nie przeżyli, chowano obok szkoły w pobliżu murowanej kapliczki.

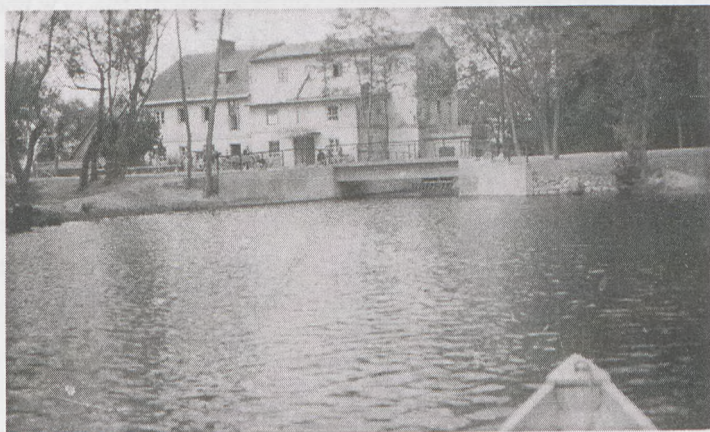
Wiele spotkań konspiracyjnych, w których uczestniczył Aleksander Zelwerowicz odbywało się na terenie młyna Repszów w Chodakowie. Miejscem spotkań był salon mieszczący się na parterze budynku mieszkalnego.

To tutaj Aleksander Zelwerowicz recytował wiersze oraz odtwarzał fragmenty swoich przedwojennych filmowych ról. Zawsze podczas takich spotkań zaproszeni goście częstowani byli przysmakami z kuchni pani Henrykę Repszowej, żony Alfreda Repsza.

Pomoc potrzebującym była dla rodziny Repszów naczelną dewizą życiową. Świadczył o tym również fakt, że prezesem sochaczewskiego Komitetu Rady Głównej Opiekuńczej był właśnie Zygmunt Repsz.

Aleksander Zelwerowicz opuścił Sochaczew 9 lutego 1945 roku.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Chodakowa zaczęły się prześladowania i aresztowania wśród osób związanych z Armią Krajową. Aresztowano także Alfreda Repsza. Dopiero dzięki wstawiennictwu sołtysa ze wsi Orły Cesin, który zaświadczył, że Alfred Repsz aktywnie wspomagał w czasie okupacji Bataliony Chłopskie, został wypuszczony w wigilię 1945 roku.



Widok na młyny Repszów, koniec lat 30-tych

W 1953 roku młyn wodny nad Utratą rodziny Repszów został przejęty przez państwo.

Dopiero w 1980 roku rodzinie Repszów udało się młyn wykupić i stanowi ich własność rodzinną do dnia dzisiejszego.

Jest również wpisany do rejestru zabytków powiatu sochaczewskiego.

Podczas okupacji wielokrotnie odwiedzali rodzinę Repszów: wybitny architekt, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Politechniki Warszawskiej – Romuald Gutt oraz profesor Politechniki Warszawskiej, projektant parku w Żelazowej Woli Franciszek Krzywda-Polkowski.

Ich przyjaźń z Zygmuntem Repszem przetrwała lata.

W jednej ze swoich książek Juliusz Kaden-Bandrowski napisał dedykację dedykowaną rodzinie Repszów:

Ta sama gwiazda prowadzi młynarzy i pisarzy.

Niech motto to będzie dla wielu z nas wspomnieniem świata, który już dawno przeminął, ale poprzez stare fotografie i książki do nas powraca...



Jak piękne mogą być wspomnienia - Repszowie z przyjaciółmi

POWROTY

Chodaków po wojnie stał się schronieniem dla wielu osób, które nie mieszkały tutaj w okresie międzywojennym. Z reguły byli to dawni mieszkańcy Warszawy, którzy po upadku powstania warszawskiego nie mieli do czego wracać.

Był także miejscem powrotów – tych z daleka i tych z bliska... Powrotów szczęśliwych, a także i tych pełnych goryczy, i smutku.

W okresie międzywojennym dzierżawcą młyna wodnego „Chodaków” rodziny Repszów był Mune Szmul. Mieszkał na ulicy Staszica w Sochaczewie, a jego przedwojenny numer telefonu to 133. Wraz z rodziną był mocno związany z Chodakowem. Wraz ze swoim bratem Ytskiem Mune, urodzonym w Sochaczewie w 1899 roku, dzierżawił tutejszy młyn o wielowiekowych tradycjach.

Ytsek Mune był żonaty z Rachel z domu Liebert. Mieli wiele dzieci, między innymi syna Mordhaja urodzonego w 1926 roku w Sochaczewie i córkę Friedę, młodszą od niego o dwa lata. Po utworzeniu sochaczewskiego getta zostali tam przeniesieni, a następnie w 1943 roku wywiezieni do Treblinki. Większość członków rodziny Mune nie przeżyła wojny. Ci, którym udało się przeżyć, wyjechali do Izraela. Tuż po wojnie jeden z członków rodziny Mune, a był nim Shabtai, syn Ytska Mune, przyjechał do Chodakowa, który to Chodaków opuścił jeszcze przed wojną. W międzyczasie wysłano go wtedy do rodziny na Kresy, aby tam mógł uczyć się i studiować. Kiedy przyjechał po wojnie do Chodakowa był żołnierzem służącym w wojsku polskim:

– *Dobrze pamiętam Szapso* – wspomina Karol Engwert, jego kolega ze szkolnej ławki. – *Szapso przyjechał do Chodakowa na koniu z pobliskich Kożuszek, gdzie stacjonowała jego jednostka. Odwiedził Repszów (właścicieli młyna), pytał o znajomych, o tych co przeżyli i zaginęli w czasie wojny. Szapso jeszcze z czasów szkolnych był jednym z największych łobuziaków w Chodakowie. Zawsze był przy kasie, bowiem podkradał tacie drobne z pieniędzy za tak zwany przemiał z domowej kasetki. Fundował wtedy kolegom ciastka z cukierni pani Trzcinińskiej,*

znajdującej się niedaleko szkoły. Zawsze na witrynie cukierni poukładane były świeże smakołyki i dzieciaki przystawały, aby chociaż na nie popatrzeć. A Szapso mógł je kupić i był gościem...

Po odwiedzeniu tuż po wojnie przez Szapso Mune Chodakowa słuch o nim zaginął.

- Dopiero po kilku latach dostałem wiadomość, że Szapso mieszka w Gdańsku i nie nazywa się już Shabtai Mune, lecz Aleksander Majewski - wspomina Karol Engwert. Minęły kolejne lata. I oto Karol Engwert dostaje kolejną wiadomość, tym razem z Izraela.

- To ja twój kolega Szapso. Nie nazywam się już Aleksander Majewski i powróciłem do mojego dawnego imienia i nazwiska. Mieszkam w Izraelu, mam piękną żonę i dwie córki.

W 1999 roku w dokumentach Yad Vashem syn Ytska Mune dokonał wpisu o członkach swojej rodziny zamordowanych w Treblince.

Był bratem Mordhaja i Friedy.

Shabtai Mune wraz z żoną odwiedził Chodaków kilkanaście lat temu. Spotkał się wtedy z Ireną i Wojciechem Repsz oraz Karolem Engwertem.

- Poszliśmy do „Relaxu”, a w „Relaxie” wspomnienia, wódeczka i zakąski. O godzinie dwudziestej drugiej musieliśmy przenieść się do pokoju hotelowego ponieważ zamykano lokal. Wyjąłem wtedy słóiczki z grzybkami marnowanymi, aby je otworzyć. I wtedy żona Szapso, chwyciła mnie za rękę, abym podarował jej te słóiczki z grzybkami. - Chciałabym je zabrać do Izraela i pokazać córkom - powiedziała. Zapytałem ją wtedy skąd tak dobrze nauczyła się języka polskiego.

- Urodziłam się w Radomiu - odpowiedziała - w rodzinie lekarza.

Być może żyje jeszcze gdzieś w Tel Aviwie, Jerozolimie lub innym mieście.

Szapso Mune (Shabtai Mune) ma stare fotografie Chodakowa. Zapewne mogłby też opowiedzieć nam wiele ciekawych historii ze swojego życia i życia swojej rodziny.

Tylko jak go odnaleźć?

CIOCIA SOKOŁOWSKA

W przedwojennym Chodakowie dużym powodzeniem cieszyła się knajpka u Cioci Sokołowskiej. Była dobrze zaopatrzona, lokal był zadbany, czysty, a i atmosfera typowo restauracyjna.

Dużym powodzeniem cieszył się bilard, a także zakłady jakie stawiano przy okazji zawodów bilardowych, które raczej mało miały wspólnego ze sportem...

Zawsze w niedzielę, kiedy wszystkie okoliczne sklepy były zamknięte, co chwila wpadał ktoś i pytał o wódeczkę z białą główką po dwa złote i trzydzieści pięć groszy. Interes szedł jak cholera.

Wszyscy byli zadowoleni, tylko wybuchła wojna.

I skończył się bilard, wódeczka z białą główką i ciocia Sokołowska też...

SPALONY

Była późna jesień 1944 roku. W sochaczewskim szpitalu w kotłowni ukrywało się dwóch jeńców rosyjskich, którzy zbiegli z transportu do jednego z wielu obozów koncentracyjnych. Jak trafili do Sochaczewa, dokładnie nie wiadomo.

Faktem jest, że pomogła im w ukryciu jedna z tutejszych rodzin, w której żona była Rosjanką a mąż Polakiem.

Ubrani w cywilne ciuchy jeńcy cały czas przebywali w kotłowni szpitala, pomagając jednemu z palaczy, który był osobą do wszystkiego – co trzeba było naprawić i zreperować.

Pewnego razu przyjechał do Sochaczewa Niemiec, który chciał odwiedzić osobę ze swojej rodziny, przebywającą akurat w tutejszym szpitalu. Kiedy poszedł za tak zwana potrzebą, nieopatrznie trafił do kotłowni, gdzie akurat przebywali uciekinierzy. Nie namyślając się długo, bojąc się o to, że zostaną wydani i zdekonspirowani – zabili Niemca i spalili go w piecu centralnego ogrzewania. Kiedy przyszedł palacz, to już temu Niemcowi tylko buty z pieca wystawały. W niespełna dwa miesiące Sochaczew wyzwoliły wojska radzieckie. Ukrywający się rosyjscy jeńcy przyłączyli się do swoich i poszli zdobywać Berlin.

Kiedy żegnali się ze znajomymi z Sochaczewa przysięgali na wszystko, że się odezwą i napiszą.

Niestety, nie napisali ani się nie odezwali.

Może zginęli, a może pobyt w Sochaczewie nie był przez nich mile wspomniany...

ŚCIEŻKA

Nazywano ją ścieżką śmierci.

Zwyczaj prowadzono nią Żydów złapanych na terenie Chodakowa i okolicy.

Ścieżka znajdowała się niedaleko szkoły powszechnej, wzdłuż zabudowań Stanisława Zwierzchowskiego i Józefa Starzyńskiego.

Ile osób zabito nad Utratą, Bóg raczy wiedzieć...

Często prowadzeni na miejsce egzekucji musieli najpierw wykopać dół, a później kilka strzałów i było po wszystkim.

Na jesieni 1941 roku prowadzono ścieżką śmierci trzy młode Żydówki.

Nie były z Chodakowa... Może z Sochaczewa, któż to teraz wie...

Do kopania dołu wzięto dwóch mężczyzn z pobliskiej restauracji. Kiedy dół był gotowy – padły pierwsze strzały. Dziewczyny trzymały się mocno za ręce. Razem bezładnie wpadły do dołu. Zapadła głucha cisza. Kolejna egzekucja i kolejny bezimienny grób.

Dzisiaj prawie nikt już nie pamięta tego miejsca, ale wtedy, w czasie okupacji było to miejsce przekłete...

IREK

Wśród wielu osób, z którymi udało mi się spotkać i porozmawiać, niezwykle barwną i ciekawą postacią jest Ireneusz Panfil. Człowiek o niebywałej pamięci, związany z Chodakowem od dzieciństwa.

Jego mama, Helena Panfilowa, prowadziła przed wojną sklep kolonialny naprzeciw bramy wjazdowej do fabryki a tata pracował na jednym z jej oddziałów. Wspomnienia Ireneusza Panfila są niezwykle barwne i mimo upływającego czasu często bardzo szczegółowe. Tak jakby opowiadał coś, co zdarzyło się kilka dni lub kilka tygodni wcześniej. Swoje wspomnienia przelewa na papier i drukuje od kilku lat w „Ziemi Sochaczewskiej”. To często dzięki niemu wielu mieszkańców Chodakowa poznaje losy dawnych kolegów i znajomych. Kiedyś zapytałem pana Irka jak miał na imię syn inż. Stanisława Poznańskiego...

- *Luwik Poznański* - odpowiedział bez zastanowienia. - *Należał do najlepszych uczniów w klasie, choć nie z każdym się kolegował. Jego mama była niezwykle pedantyczną osobą* Wiadomo: *Szwajcarka, żona inżyniera.*

I tak z panem Irkiem rozmawialiśmy wiele razy.



Ireneusz Panfil z kolegami nad rzeką Bzurą

Pamiętam, jak opowiadał mi o moim dziadku, z którym pracował jako młody chłopak w fabryce:

– Pan Edward Bronicz był osobą o niesamowitej wiedzy. Potrafił wszystko naprawić i zreperować. Ta złota rączka... Często podglądaliśmy go z kolegami, jak on to wszystko robi, ale trudno było nadążyć.

Wśród wielu opowieści i wspomnień ze starych fotografii, niezwykle interesujące były wspomnienia pana Irka o starych chodakowskich alejkach.



Chodakowskie alejki, lata 50-te

Wysadzono je włoskimi topolami, które bardzo dobrze chłonęły dwusiarczek węgla ulatniający się podczas produkcji jedwabiu. Stare alejki miały podwójny rząd topoli po obu stronach. Topole przycinano co pewien okres czasu, podlewano ze specjalnego beczkowszu, a obok drzew posadzono liczne kwiatowe krzewy. Topole rosły również przy ulicy Staszica (obecnie Chodakowska), przy ulicy Pocztowej, Topolowej, Parkowej i przy kilku innych.

Chodaków przypominał zielony ogród, na obrzeżach którego pobudowana została fabryka. Po obu wejściach do alejek znajdowały się drewniane, zdobione cokoły nadające uroku całości. Podczas uroczystości Bożego Ciała jedno z takich cokołów zamieniano na ołtarz, przy którym asystowała straż ogniowa z fabryki.

- Pamiętam prezesa fabryki, jak chodził alejkami i patrzył, czy któreś z dzieciaków nie łamało gałęzi. Jeżeli tylko miałyby miejsce taka sytuacja, rodzic wzywany był do administratora celem naprawienia szkody.



Straż Ogniowa z Fabryki Jedwabiu

Wjazd do alejek strzegły symboliczne szlabany. Chętnie robiono sobie przy nich pamiątkowe fotografie. W tle kryte trybuny klubu sportowego „Bzura” i topole – jeden z symboli Chodakowa.



Przed wejściem do alejek w Chodakowie, lata 30-ste



Anna Linsenhardt z koleżanką, lata 30-ste

HARCERSTWO W PRZEDWOJENNYM CHODAKOWIE

Wraz z powstaniem szkoły powszechnej w Chodakowie zaczęto organizować drużyny harcerskie. Niemały wpływ na tworzenie struktur organizacji harcerskiej miał przybyły do Chodakowa na początku lat trzydziestych Ignacy Panfil. Fabryka jedwabiu w znacznym stopniu pomagała finansowo, dopłacając do obozów i biwaków, a także kupując namioty i pozostały sprzęt niezbędny dla każdego harcerza. W niedługim czasie, po uroczystym otwarciu szkoły powszechnej, miało miejsce uroczyste poświęcenie sztandaru oraz symboliczne wbicie gwoździ.



Uroczyste wbijanie gwoździ do sztandaru Szkoły Powszechnej w Chodakowie, lata 30-te

W czerwcu 1937 roku, w Dniu Harcerza, odbył się w Chodakowie uroczysty zlot harcerski drużyn z kilkunastu miast zachodniego Mazowsza. Miejscem parady drużyn harcerskich było boisko chodakowskiej „Bzury”. Zastępy harcerskie defilowały przed zaproszonymi przedstawicielami samorządu sochaczewskiego oraz przedstawicielami kierownictwa fabryki jedwabiu.



Zlot harcerski w Chodakowie, czerwiec 1937 r.

Po wybuchu drugiej wojny światowej wielu członków organizacji harcerskiej działało w ruchu oporu na terenie Sochaczewa i Chodakowa. Chodakowscy harcerze brali także udział w walkach w powstaniu warszawskim.

Byli to w większości synowie lub córki przedwojennej kadry fabryki jedwabiu, którzy chodzili w latach trzydziestych do chodakowskiej szkoły powszechnej oraz gimnazjum w Sochaczewie.

Ignacy Panfil trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau.

Po wyzwoleniu obozu przez wojska alianckie, wrócił w 1945 roku do Chodakowa. Miał też ogromny udział w tworzeniu struktur powojennego harcerstwa w Chodakowie.

Wieloletni pracownik fabryki, później znany jako pan Ignacy prowadzący kiosk z gazetami niedaleko bramy fabrycznej.



Harczerze z Chodakowa, Fotografia zbiorowa 1946 r.



Harczerze z Chodakowa, Fotografia zbiorowa 1946 r.

STANISŁAW KRÓL – PORTRET NIEZNANY

Czasem tak bywa, że życie człowieka jest jak temat na film.

Stanisław Król urodził się w Radomiu, tam też ukończył szkołę średnią. Później przeniósł się do Warszawy, skąd po kilku latach wyjechał. Zamieszkał w jednym z miasteczek na terenie późniejszych polskich kresów wschodnich, gdzieś między Wilnem a Grodnem.

Tu także nie zagrzał długo miejsca i pojechał dalej, na północny wschód, gdzieś pomiędzy Witebsk a Rygę.

Pracował w księżęcym majątku i tak naprawdę nie brakowało mu niczego.

W czasie pierwszej wojny światowej nadal mieszkał na terenie Rosji. Cudem przeżył wysadzenie pociągu, gdzieś daleko za Uralem.

Jako jeden z niewielu powrócił z przeprawy statkiem po Jenisieju...

Życie ludzkie w tamtych czasach na terenie Rosji nic nie znaczyło.

Jeśli przeżyłeś, będziesz żył... A jeśli nie miałeś szczęścia lub zdrowia, mało kto będzie o tobie później pamiętał.

Do Polski powrócił w 1921 roku, w ramach wymiany jeńców po wojnie bolszewickiej.

W okresie międzywojennym pracował w kasie ubezpieczeniowej na Woli w Warszawie.

Mieszkał w Brwinowie i dobrze znał rodzinę księdza Zdzisława Leychte, który w latach pięćdziesiątych został proboszczem w Parafii Trojanów.

Dla wielu mieszkańców Chodakowa Stanisław Król był jednym z kilku lekarzy pracujących w przychodni zakładowej.

Choć z wykształcenia był felczerem, prawie całe życie niósł pomoc w zakresie opieki zdrowotnej mieszkańcom Chodakowa i pracownikom fabryki.

Dzisiaj trudno byłoby określić jak potoczyłyby się jego dalsze losy, gdyby nie spotkanie we wrześniu 1939 roku z prezydentem Warszawy Stefanem Starzyńskim.

To właśnie wtedy prezydent Stefan Starzyński namówił Stanisława Króla do pozostania w Warszawie, w której lekarzy było jak na lekarstwo. Wielu przedstawicieli tego zawodu wcielono bowiem do wojska, wielu też opuściło miasto, uznając je za zbyt niebezpieczne. Po kapitulacji miasta i zakończeniu działań wojennych Stanisław Król pracował w kasie ubezpieczalni w Warszawie.

Tak było do 1941 roku.

Ostrzeżony w ostatniej chwili przed aresztowaniem, przyjechał do Chodakowa.

Znajomi mówili mu wtedy: – *Tam cię nikt nie znajdzie, to takie miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc!*

Posłuchał...

Zatrudnił się w przychodni zakładowej fabryki jedwabiu.

Zamieszkał z rodziną przy ulicy Pocztowej 5.



Janusz Karwowski i Stanisław Król przed wejściem do fabrycznego ambulatorium w Chodakowie, 1942 r.

Wspólnie z doktorem Januszem Karwowskim aktywnie działał w strukturach konspiracji na terenie Chodakowa i Sochaczewa.

Wielokrotnie operował rany postrzałowe u osób biorących udział w akcjach i potyczkach zbrojnych przeciwko okupantowi niemieckiemu na terenie powiatu sochaczewskiego. Kiedyś przywieziono mu młodego chłopaka z raną postrzałową klatki piersiowej podczas akcji na Dehringa. Chłopak ledwo przeżył. Ratowanie życia nie było w tamtych czasach takie łatwe i bezpieczne. Cały czas trzeba było niezwykle uważać i mieć się na baczności. Stanisław Król miał co prawda stały dostęp do opatrunków i leków, ale wiele osób patrzyło mu ciągle na ręce...

Dzisiaj nikt o tym nie wie, ale to Stanisław Król sporządził akt zgonu zabitego przez Niemców Igora Bałaczyńskiego. Dramatem dla rodziny Bałaczyńskich było postanowienie władz niemieckich o pochowaniu Igora w miejscu stracenia. Dopiero zapis, że Igor sam odebrał sobie życie stał się przepustką do pochowania go na cmentarzu w Trojanowie.

W pierwszych latach po wyzwoleniu Stanisław Król wspólnie z Januszem Karwowskim i J. Kozłowskim stanowili trzon chodakowskiej służby zdrowia.

W 1948 roku rozbudowano zakładowe ambulatorium. Przybyło kilku nowych lekarzy. Wśród nich możemy wymienić: dr. Jerzego Krzymińskiego, dr. Henryka Krzemińskiego, dr. Wiesława Stembrowicza oraz dr. Irenę Głowaczewską.

Stanisław Król pełnił w tym czasie funkcję doktora rejonowego. Po przejściu na emeryturę udzielał się społecznie w samorządzie lekarskim i pozostał we wspomnieniach wielu osób jako człowiek wielkiego serca i uczciwości.



Fotografia rodzinna

POCZĄTKI CHODAKOWSKIEGO SPORTU



Tablo sekcji piłki nożnej, KS "Bzura" Chodaków

Wraz z powstaniem fabryki jedwabiu powstała pierwsza sekcja sportowa w Chodakowie.

Był rok 1929. Chodakowskie Koło Sportowe, bo tak nazywał się wtedy chodakowski klub, skupiał wszystkich tych, dla których najlepszą formą do spędzania wolnego czasu po pracy było uprawianie sportu. Głównym inicjatorem powstania klubu byli: Michał Henke, Jerzy Kordowski, Stanisław Poznański, Jerzy Rokoczy i Władysław Wach. Projekt stadionu obejmującego boiska do piłki nożnej, siatkówki oraz toru do wyścigów kolarskich, wykonali: Stanisław Czerwiński i Jerzy Kordowski.

Do budowy obiektu przystąpiono w 1929 roku. Trzy lata później dokonano zgłoszenia Chodakowskiego Koła Sportowego, występującego już wtedy pod nazwą Klub Sportowy „Bzura”, do Polskiego Związku Piłki Nożnej i zaczęto organizować regularne rozgrywki sportowe. Oprócz sekcji piłki nożnej utworzono sekcję kolarską i lekkoatletyczną. Niezwykle emocjonujące były także

mecze tenisa ziemnego na korcie ziemnym, którego uroczyste otwarcie nastąpiło 14 lipca 1929 roku. Także zawody wioślarskie na Przystani Ligi Morskiej i Kolonialnej nad Bzurą cieszyły się dużym zainteresowaniem. W okresie międzywojennym prezesem Klubu Sportowego „Bzura” był inż. Hubert Jurjewicz. Wśród osób aktywnie wspomagających w tamtym czasie chodakowski klub sportowy można wymienić Bronisława Kaptura, Kazimierza Ulmera, Wacława Zglińskiego oraz głównego księgowego fabryki Władysława Wacha, który nie szczędził pieniędzy na chodakowski sport.



Przed meczem Klubu sportowego KS Chodaków i KS Polonia Warszawa, Chodaków, 12 lipca 1931 r.

Do 1939 roku Klub Sportowy „Bzura” liczył 177 członków. Mecze piłki nożnej odbywały się na nowoczesnym, jak na tamte czasy, stadionie, który posiadał nawet kryte trybuny. Obiekt był bardzo dobrze utrzymany i służył również innym sekcjom sportowym. To tutaj rozgrywano dwa razy w roku wyścigi kolarskie oraz biegi na różnych dystansach.

I pomyśleć, że jeszcze w połowie lat dwudziestych było tu pole...

ZAWODY SPORTOWE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Sekcja piłki nożnej



Na boisku chodakowskiej "Bzury", lata 30-ste



Na boisku chodakowskiej "Bzury", lata 30-ste



Na boisku chodakowskiej "Bzury", lata 30-ste



Na boisku chodakowskiej "Bzury", lata 30-ste



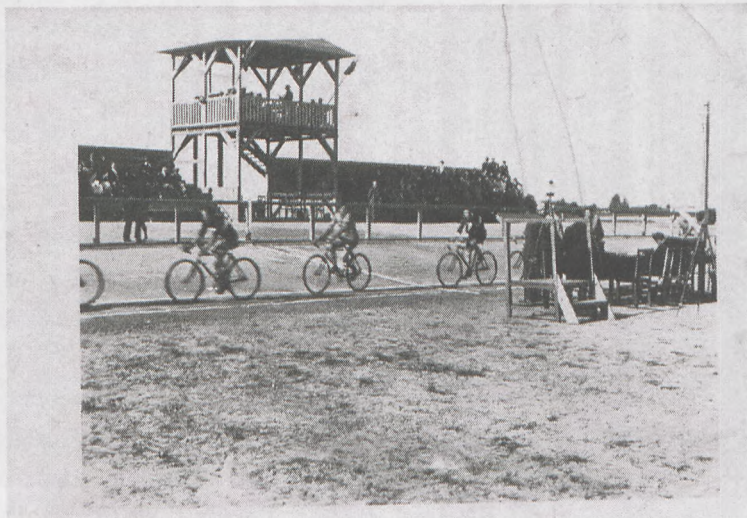
Zawodnicy KS Chodaków oraz TUR Sochaczew przed meczem w Sochaczewie, 1929 r.



*Zawodnicy sekcji piłki nożnej KS "Bzura" Chodaków z prezesem Klubu
inż. Hubertem Jurjewiczem*

ZAWODY SPORTOWE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Sekcja kolarska



Zawody kolarskie w Chodakowie, początek lat 30-tych



Zawody kolarskie, lata 30-te

TENIS ZIEMNY - OKRES MIĘDZYWOJENNY

SPORTOWYM „DZURA CHODAKÓW”
- LATA POWOJENNE



Na korcie tenisowym, fotografia zbiorowa, lata 30-ste



Ciekawe kto wygrał tego seta, lata 30-ste

ZAWODY KRYKIETA - OKRES MIĘDZYWOJENNY



Halina i Bolesław Wesołowscy promują grę w krykieta w Chodakowie, lata 30-ste

SEKCJE SPORTOWE DZIAŁAJĄCE PRZY KLUBIE SPORTOWYM „BZURA CHODAKÓW” – LATA POWOJENNE

I. Sekcja piłki nożnej:

Okres przedwojenny i powojenny

Zygmunt Adamusiński, Henryk Baran, Tadeusz Błaszczyk, Tomasz Borowski, Jan Brzeziński, Stanisław Cyganik, Henryk Figiel, Jerzy Gałeczki, Mieczysław Gąsior, Waldemar Górnicki, Jerzy Górnicki, Jan Górnicki, Zdzisław Górnicki, Stanisław Gradek, Haman, Janusz Józwiak, Józef Kaczmarek, Waldemar Kajetaniak, Bogdan Kaliński, Tadeusz Kamiński, Bronisław Kaptur, Roman Kasztelan, Bolesław Kaźmierczak, Henryk Kłokosiński, Henryk Kowalski, Janusz Koperski, Stanisław Kowalski, Krzysztof Krakowiak, Władysław Królak, Edmund Kurczewski, Wiesław Łajc, Stanisław Majewski, Waclaw Małeczki, Kazimierz Marcinkowski, Wiesław Marcinkowski, Aleksander Marszałek, Adam Materski, Miedziński, Tadeusz Motyliński, Edward Pawlak, Eugeniusz Olejnik, Waldemar Opatieren, Jerzy Pawłowski, Jerzy Pisarek, Krzysztof Podczaski, Adam Podlaski, Kazimierz Popiołek, Józef Ponieważ, Mieczysław Przybylak, Roman Ptaszyński, Władysław Rojewski, Benedykt Rybczyński, Stanisław Sadsisz, Marek Sompór, Józef Szajewski, Kazimierz Szygalski, Stanisław Szczepanik, Kazimierz Ulmer, Tadeusz Urbański, Jan Tomczyk, Tadeusz Tygiel, Mirosław Wasilewski, Leon Wiśniewski, Jerzy Zaczkowski, Józef Zalejski, Tadeusz Zalejski, Zygmunt Zagajewski, Zwadziński, Jan Zygmunt, Waclaw Zgliński.

II. Sekcja lekkoatletyczna

Jadwiga Abisiak, Barbara Adamkowska, Romana Gruszczyńska, Irena Lenard, Adela Sadsisz, Stefania Zimna, Irena Kwiatkowska.
Janusz Choroblewski, Waclaw Duplicki, Włodzimierz Gałeczki, Jerzy Gałeczki, Jan Gradek, Mieczysław Gradowski, Włodzimierz Janiszewski, Jerzy Jankowski,

Kowalski Włodzimierz, Jerzy Pisarek, Władysław Rojewski, Mieczysław Kornacki, Ryszard Szewczyk, Waclaw Szczepanik, Henryk Zalejski, Waclaw Zgliński.

III. Sekcja hokeja na lodzie

Feliks Boruch, Andrzej i Krzysztof Czugajewski, Stanisław i Jerzy Gałeczki, Grzegorz Górnicki, Jan Górnicki, Wojciech Górnicki, Waldemar Guzik, Władysław Józwiak, Józef Kaczmarek, Ludwik Klocek, Franciszek Kozerski, Zbigniew Krawczyk, Włodzimierz Królak, Władysław Królak, Dariusz Kruk, Zbigniew Łażewski, Czesław Łukaszyk, Edward Małeczki, Adam Materski, Jerzy Mazippus, Tadeusz Motyliński, Krzysztof Podczaski, Stefan Ponieważ, Waldemar Roźnowski, Schiele, Marek Sompór, Jan Ulmer, Wincenty Włodarczyk, Robert Ulmer, Andrzej Zygmont, Zbigniew Życki, Henryk i Roman Zalejski.

IV. Sekcja bokserska

Janusz Choroblewski, Jerzy Józikowski, Aleksander Marszałek, Mitręga, Siedlecki, Szymczak, Józef Unisławski, Henryk Zalejski.

V. Sekcja judo

Tadeusz Naskręt, Kazimierz Kalinowski, Bogdan Owczarek, Adamski, Jarosław Gąsiorowski, Zbigniew Nalej, Arkadiusz Sobieraj.

VI. Sekcja tenisa ziemnego

Janusz Choroblewski, Helena Gradowska-Juń, Janusz Karwowski, Kazimierz Kociołek, Eugeniusz Król, Andrzej Modzelewski, Józef Orlikowski, Tadeusz Wasilewski.

VII. Sekcja siatkówki

Jadwiga Abisiak, Jolanta Popiołek, Stefania Zimna, Izabela Choroblewska, Tadeusz Błaszczyk, Janusz Choroblewski, Włodzimierz Gałeczki, Włodzimierz Kowalski, Jerzy Pisarek, Władysław Rojewski, Waclaw Zgliński.

VIII. Sekcja koszykówki

Romualda Gruszczyńska, Tomasz Borowski, Janusz Choroblewski, Włodzimierz Gałęcki, Włodzimierz Kowalski, Władysław Rojewski, Wacław Zgliński.

IX. Sekcja tenisa stołowego

Janusz Choroblewski, Bogumił Wasilewski, Zbigniew Życki.

X. Sekcja pływacka

Janusz Choroblewski, Eugeniusz Król, Zygmunt Michoń, Zbigniew Życki.

XI. Sekcja kajakowa:

Janusz Choroblewski, Eugeniusz Król, Bogdan Rybak.

XII. Sekcja szachowa

Stanisław Osiecki.

XIII. Sekcja strzelecka:

Czugajewski, Włodarczyk.

XIX. Sekcja motorowa

Waldemar Flis, Eugeniusz Olejnik, Mieczysław Przybylak, Józef Wydrzyński, Józef Zalejski.

Oczywiście, trudno byłoby wymienić wszystkich zawodników i wszystkie osoby działające w poszczególnych sekcjach.

Podane przez ze mnie osoby udało mi się zarchiwizować, choć wiem, że mogłem pominąć jeszcze wielu wspaniałych ludzi.

PRZEŻYJMY TO JESZCZE RAZ - CHODAKOWSKI SPORT NA STAREJ FOTOGRAFII

Sekcja piłki nożnej

Stanowi od samego początku klubu sekcję podstawową i osiągnającą największe sukcesy sportowe.



Mecz KS "Bzura" Chodaków i TUR Sochaczew, lata 40-ste



"Gdzie są chłopcy z tamtych lat..." , lata 40-ste



fotografia zbiorowa, koniec lat 40-tych



Zarząd KS „Bzura” Chodaków, 1954 rok



Uroczyste powitanie gości z Libanu w Chodakowie, 15.08.1955 r.



Przed mecz z drużyną Libanu, wygrała „Bzura” Chodaków 4:2, 15.08.1955 r.

Sekcja lekkoatletyczna

Powstała w drugiej połowie lat czterdziestych dwudziestego wieku.



Chodakowscy lekkoatleci, fotografia zbiorowa, początek lat 50-tych



Na boisku chodakowskiej "Bzury", początek lat 50-tych



Janusz Choroblewski, Włodzimierz Janiszewski i Henryk Zalejski, początek lat 50-tych



Bieg na 100 metrów, pierwszy z lewej Włodzimierz Janiszewski

Sekcja hokeja na lodzie



Hokeiści z Chodakowa z dyrektorem Fabryki Jedwabiu Mieczysławem Berentem



Hokeiści z Chodakowa z dyrektorem Fabryki Jedwabiu Mieczysławem Berentem



Trening czyni mistrzem, hokeiści z Chodakowa, lata 50-te



Kto dzisiaj rozpozna zawodników sekcji hokejowej chodakowskiej "Bzury"

Sekcja bokserska



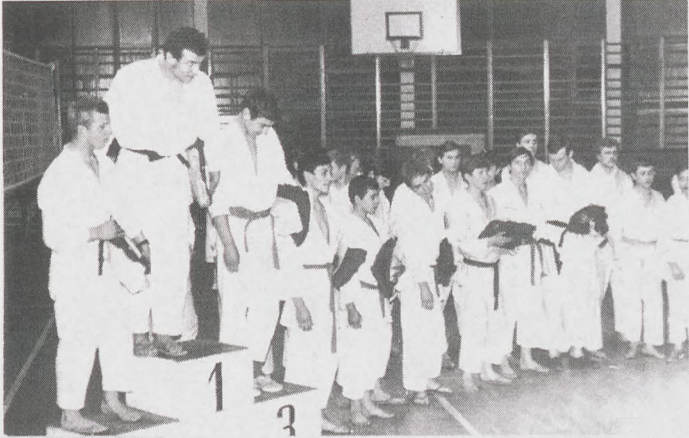
fotografia zbiorowa, początek lat 50-tych



Przed jednym z ważnych meczy, lata 50-te

Sekcja Judo

Sekcję Judo stworzył Tadeusz Naskręt



Hala sportowa w Chodakowie, początek lat 70-tych



Przemarsz ulicami miasta, początek lat 70-tych

Sekcja tenisa ziemnego

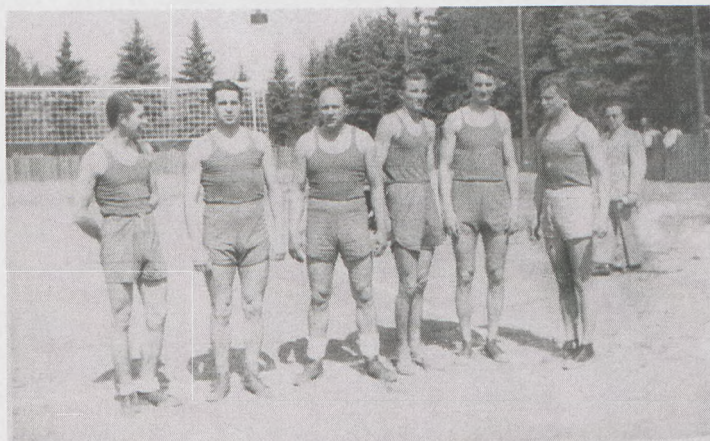


Teniści z Chodakowa przed meczem Ursusie, początek lat 50-tych



*Mistrzostwa Polski w Tenisie Ziennym, druga z prawej strony
- Helena Gradowska-Junin, początek lat 50-tych*

Sekcja siatkówki



Drużyna marzeń chodakowskiej siatkówki. lata 50-te

Sekcja koszykówki



Sekcja koszykówki, Włodzimierz Galecki i jego drużyna, koniec lat 60-tych

OSIOŁEK

Nie zawsze idąc lub jadąc do Żelazowej Woli, myślano o Fryderyku Chopinie. W pierwszych latach po wojnie niezwykle popularnym mieszkańcem Żelazowej Woli był... przytulny osiołek z jednego z gospodarstw rolnych znajdujących się nieopodal parku.

Szpecially miejsce to upodobały sobie dzieci, które w każdą niedzielę przybywały do Żelazowej Woli na spotkanie ze swym ulubieńcem. Osiołek miał na imię Hipolit, zgodnie z sugestią dzieci.



Słynny osiołek z Żelazowej Woli, koniec lat 40-tych

Słynny osiołek dał później symboliczną nazwę dla restauracji znajdującej się nieopodal oraz stał się obiektem wielu anegdot i kawałów. Jedni mówili, że jak coś już się zje w tutejszej restauracji, a już nie daj Boże coś wypije, to można przemienić się w osiołka...

I tak przez kilka lat straszono ludzi z mniejszym lub większym powodzeniem.

Dla niedowiarków przyprowadzano czasem biednego osiołka i mówiono, że to jeden z takich co wcześniej nie wierzyli...

Nazwa „Osiołek” przyjęła się do tego stopnia, że kolejne nazwy restauracji w Żelazowej Woli były tylko nazwami z szyldu, który wisiał na froncie. Jedną z ostatnich nazw „Pod wierzbnami”, także się nie przyjęła, choć wierzbn wokoło było bez liku, a do tego były to jeszcze wierzby płaczące.

Prawdziwy osiołek stracił życie na początku lat pięćdziesiątych.

Jak wspominali niektórzy, nawet niezłe było z niego salami.

Ale po chwili dodawali, że znacznie lepiej prezentował się za życia.

Dzisiaj Żelazowa Wola kojarzy się nam tylko z Chopinem.

I bardzo dobrze, bo osiołkowi, jaki by nie był, trudno byłoby raczej rywalizować z naszym wielkim kompozytorem...



Któż nie chciałby pogłaskać słynnego osiołka?

DZIADEK ZWIERZCHOWSKI

Budka Stanisława Zwierzchowskiego w Chodakowie była od niepamiętnych czasów obiektem kultowym.

Jej właściciel, popularny „Dziadek”, bo tak go nazywano, kojarzył się każdemu mieszkańcowi Chodakowa z papierosami, piwem, ciastkami, czekoladą, cukierkami i lodami, a czasem też uwielbianą przeważnie przez dzieci, watą cukrową. W zależności od wieku, każdy mógł kupić u „Dziadka” swój wymarzony produkt i cieszyć się nim choć przez chwilę.

Stanisław Zwierzchowski przyjechał do Chodakowa, podobnie jak wielu mu podobnych, w poszukiwaniu pracy w tutejszej fabryce jedwabiu. Zatrudniono go na elektrociepłowni, gdzie sprawdzał pomiary na przyrządach fabrycznych. Może i nie była to ciężka praca, ale bardzo odpowiedzialna. Reżim technologiczny wymuszał bowiem trzymanie parametrów w bardzo określonych zakresach, tak więc ciągła kontrola i obserwacja były konieczne.

Od dziecka przejawiał zdolności muzyczne. Pozwoliło mu to przyłączyć się do orkiestry zakładowej. Liczne występy na przystani nad Bzurą czy w LUNA Parku w Lasku Chodakowskim to dalsze spotkania z publicznością i częste słowa pochwały.

Będąc właścicielem posesji w jednym z centralnych miejsc w Chodakowie, otrzymał na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku propozycję od jednego z cukierników z okolic Nadarzyna – postawienia drewnianego kiosku handlowego. Opłata za wydzierżawienie miejsca pod kiosk handlowy okazała się na tyle atrakcyjna, że nie wahał się ani przez chwilę. W kiosku sprzedawano ciastka i cukierki, lody i oranżadę, a z czasem także i piwo.

Interes kwitłby przez cały czas, gdyby nie sprzedawczyńnie.

A były nimi dwie piękne córki właściciela kiosku i cukierni, które to co uhandlowały, wydawały na swoje kobiece potrzeby.

A że i chłopaków do randkowania było w Chodakowie wielu, to i pieniądze się szybko rozchodziły.

Nastąpiła więc pierwsza kioskowa plajta, co jak się później okazało nie była ostatnią. Kolejnym dzierżawcą kiosku była pani Kujawa z pobliskich Kistek, która sprzedawała tak zwane groszowe cukierki. Bliskość szkoły powszechnej dawała nadzieję na dobrą sprzedaż. Ale ileż to trzeba byłoby sprzedać takich cukierków, aby zarobić choć kilka przysłowiowych groszy!

I tym razem interes nie wyszedł. Fatum, czy co...

Takie miejsce i taka porażka!

Stanisław Zwierzchowski wziął wtedy interes w swoje ręce.



Stanisław Zwierzchowski, lata 30-te

Przejął kiosk od cukiernika, który nie płacił mu za dzierżawę placu i sam zaczął handlować. Sprzedawał osobiście, a nieco później – z córką Lucynką, która miała już wcześniej praktykę w sklepiku szkolnym szkoły powszechnej w Chodakowie. Zaczęto sprowadzać najlepsze produkty z najlepszych firm. Produkty z Wedla czy Fuksa stały się codziennością i sprzedawano je w coraz większych ilościach.

Oranżada i lody, ciastka i ciasteczka, papierosy i piwo, można powiedzieć – dla każdego coś miłego...



Stanisław Zwierzchowski i Antoni Kluge, lata 30-ste

Tym razem nie mogło być już plajty. I nie było...

Wybuchła wojna. Prowadzenie kiosku stało się coraz trudniejsze, a i dostęp do wielu towarów coraz cięższy.

Stanisław Zwierzchowski wziął wtedy za współniczkę panią Migdałek z poznańskiego, która miała dobre kontakty handlowe.

Przetrwał, choć asortyment był znacznie ograniczony, ale nie dokładał do interesu. Stanisław Zwierzchowski był znany z wielu kawałów i sam robił kawały innym.

Najbardziej powszechnym była tak zwana gra na okarynie, glinianym instrumencie podobnym do fujarki. Proponował grę osobom „wkręcany” na jednym z instrumentów, grając ludowe melodie na takim samym instrumencie wcześniej. Podczas gdy osoba zainteresowana akompaniamentem brała swoją okarynę i przygotowywała się do gry, pan Stanisław już grał na swojej okarynie.

I wtedy ku przerażeniu akompaniatora po dmuchnięciu w instrument, chmura sadzy pokrywała jego twarz. Ktoś krzyknął zazwyczaj – *Kominiarz ! Ale czad!*

I śmiechu było co niemiarą...

Pani Małgorzata Zwierzchowska miała już wcześniej przygotowane mydło i ręczniki, ale nie każdemu z zaczadzonych było do śmiechu.

Czasem padały wyzwiska i groźby, nie mówiąc o niecenzuralnym słownictwie, ale wszystko z reguły dawało się załagodzić.

Butelka lub kilka kufli piwa robiły swoje i świat wydawał się piękny mimo czarnych oczu i czarnej koszuli...

Stanisław Zwierzchowski zmarł w połowie lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

Kilka lat później rozebrano jego drewnianą budkę.

I tak oto skończyła się historia chodakowskiego „Dziadka”, który każdemu w Chodakowie był znany od dzieciństwa, a może już nawet i od kołyski...

ZATRUCIE WODY PITNEJ

Pod koniec lat osiemdziesiątych miało miejsce poważne zanieczyszczenie wody pitnej w Chodakowie.

Kiedy coraz więcej osób wśród pracowników zakładu i mieszkańców osiedla uskarżało się na zatrucie pokarmowe, zaczęto zastanawiać się pieczołowicie, co jest tego przyczyną. Dopiero jednak, jak jedna z pracownic zakładu zobaczyła w wodzie pływające robaki, sprawa nabrała tempa.

I okazało się wtedy, że nie jest to przejaw sabotażu, ale zwykłej pogoni za pieniędzem kilku fabrycznych racjonalizatorów.

W ramach jednego z wniosków racjonalizatorskich połączyli oni bowiem obieg wody pitnej z obiegiem wody przemysłowej.

Dyrektor naczelny, który jak głosiła fama bardzo pozytywnie wypowiadał się wcześniej o powyższym projekcie i o racjonalizatorach, nagle nabrał „wody w usta” i... przez cały czas pił herbatę zrobioną ze skażonej wody. Nawet jego sekretarka dziwiła się, jak on to wszystko wytrzymuje.

Tak jak gdyby nigdy nic się nie stało...

Po kilku dniach dyrektor zrobił się prawie siwy, ale trudno było sprawę zamieść pod przysłowiowy dywan.

W tym czasie w zakładzie trwały gorączkowe poszukiwania, w którym to miejscu doszło do feralnego połączenia obiegow wody. Najprościej byłoby zapytać głównego racjonalizatora i jego współtowarzyszy, ale ci podobno nie trzeźwili przez kilka dni, bo akurat kasa wypłaciła już im pieniądze. Kiedy ostatecznie udało się zlokalizować feralną rurę, ktoś inny po kilku dniach ją tak zaspawał, żeby już nigdy nie przyszło komukolwiek do głowy racjonalizować obiegi wody.

MIÓD ZE SPIRYTUSEM

Praca w dziale zaopatrzenia fabryki jedwabiu w Chodakowie nie należała do łatwych.

Po pierwsze była niesłychanie stresująca, bowiem żyliśmy w świecie ciągłego planowania w gospodarce zwaną gospodarką socjalistyczną, z którego to planowania, tak naprawdę nic pozytywnego nie wynikało.

Aby fabryka mogła produkować jedwab, trzeba było z odpowiednim wyprzedzeniem zamawiać różnego rodzaju surowce – począwszy od grupy podstawowej a skończywszy na tysiącach innych produktach i komponentach, na które obowiązywały różnego typu limity.

Kiedy przyszedłem pracować do działu zaopatrzenia, ówczesny kierownik pokazał mi dużą szafę, w której było pełno różnego rodzaju gadżetów w postaci szczyrzyków, obrusów, garnków emaliowanych oraz włóczki. Akcesoria te służyły zaopatrzeniowcom jako element przetargowy w centralach zaopatrzenia krajowego, a często też w centralach handlu zagranicznego. Największe powodzenie miała oczywiście włóczka ze złota nitką, ale też i garnkami nikt nie gardził...

Narady dotyczące zaopatrzenia odbywały się zwykle na wydziale przędzalni. A tam kierownicy różnych oddziałów produkcyjnych i pomocniczych prześcigali się w tworzeniu atmosfery ciągłego niedoboru różnych rzeczy. Po jednym z pierwszych takich spotkań, chciałem zwolnić się z zakładu, bowiem odniosłem wrażenie, że jak nie zamówię czegoś na czas to zakład stanie... Nic bardziej mylnego. Każdy z kierowników miał u siebie żelazne zapasy nieraz na kilka tygodni lub miesięcy, ale wygodnie mu było zamawiać kolejne, nie licząc się z kosztami.

Zwykle raz w roku trwała wielka akcja oszczędzania i pilnowania kosztów, i wtedy wychodziło szydło z worka, i okazywało się, ile to niepotrzebnych zamówień było realizowanych.

Zaopatrzeniowcy musieli też dbać bardzo o swoje zdrowie, gdyż częste wyjazdy w teren bez względu na porę roku kończyły się przeziębieniem a nawet chorobą.

Pamiętam jak jednemu z pracowników poradziłem, żeby pił miód ze spirytusem i odesłałem go do lekarza, i do domu.

Pracownik przyszedł dopiero po tygodniu do pracy, odniosłem jednak wrażenie że jest jeszcze trochę osłabiony.

Na moje pytanie jak pomógł miód ze spirytusem, odpowiedział:

- Szefie, piłem ten miód ze spirytusem kilka dni jak szef radził, ale szkoda, że szef nie powiedział mi wcześniej w jakich to trzeba pić porcjach...

ZUPA REGENERACYJNA Z WKŁADKĄ

Smakowała prawie każdemu i zazwyczaj nie było na nią reklamacji. Wielokrotnie proszono nawet o dokładkę, nie mylić z wkładką w postaci kawałka mięsa lub kiełbaski (!).

Zupy regeneracyjne otrzymywali pracownicy działów produkcyjnych i pomocniczych. Gotowane były na zakładowej stołówce i roznoszone w specjalnych pojemnikach przez pracowników zakładu do oddziałów.

Chętnych do przynoszenia zup regeneracyjnych nie brakowało...

Zdarzało się bowiem, że na trasie ze stołówki do oddziału, gdzie była serwowana, ilość wkładek ulegała pomniejszeniu, a ci którzy ją przynosili zaklinali się, że „ilość wydana na stołówce pokrywa się z ilością dostarczoną”. Dla części pracowników popularna wkładka była czasem napojem wysokowym, który można było wlać do zupy regeneracyjnej bez obawy o zdekonspirowanie. Ilość wlna do zupy nie groziła utratą zdrowia, a często nawet wspomagała apetyt.

Oprócz zup regeneracyjnych pracownicy otrzymywali także po butelce mleka i wodę gazowaną dla ugaszenia pragnienia, szczególnie podczas upałów.

Kiedyś ktoś wpadł nawet na pomysł, aby zamiast wody gazowanej serwować herbatę, ale pomysł w końcu nie wypalił. Herbata nie każdemu smakowała, dla jednych była za mało słodka, a dla innych za słaba i przesłodzona. Powrócono więc do wód gazowanych, które notorycznie były wynoszone do domu przez pracowników zakładu dzięki „stłuczkom”.

Co pewien czas dział inwentaryzacji spisywał butelki i wtedy okazywało się, że ilość „stłuczek” przechodziła w niebotyczne rozmiary. Każdy z kierowników pisał wtedy wyjaśnienie do protokołu o kruchości butelek i czynił kolejną osobę odpowiedzialną za monitorowanie czynności wydawania i przyjmowania napojów.

W ten oto sposób kolejna osoba znajdowała zatrudnienie i wszyscy byli zadowoleni.

GONIEC ZAKŁADOWY

W czasach minionych nie było jeszcze komputerów. Nie było e-maili i całego tego wirtualnego świata. Był natomiast goniec zakładowy, który docierał do najodleglejszych zakątków zakładu i przynosił często dokument zwany potocznie kartą służbową.

Aby zostać gońcem nie trzeba było kończyć studiów ani szkoły średniej, trzeba było mieć tylko dobrą kondycję fizyczną. Praca polegała bowiem na ciągłym przemieszczaniu się po zakładzie i roznoszeniu różnego typu służbowej korespondencji.

W fabryce jedwabiu w Chodakowie pracowało kilkunastu gońców.

Ktoś by powiedział dzisiaj, że to dużo, ale fabryka zatrudniała przeszło trzy tysiące osób, które ciągle coś pisały do kooperujących z nimi działów i oddziałów.

Telefon, jak to telefon służył do rozmów telefonicznych, ale słowo pisane i podpisane (najlepiej jeszcze z pieczętką) było stokroć ważniejsze.

Cały system z reguły funkcjonował nienagannie i bez jakichkolwiek przeszkód.

Zdarzały się jednak takie dni, kiedy stawał się nieco „przeciążony” i korespondencja nie dochodziła na czas. Zdarzało się to zazwyczaj w popularne imieniny, a te w zakładzie były hucznie i przyjacielsko obchodzone. No i taki goniec, po złożeniu życzeń, musiał wypić za zdrowie popularnej Krysi lub Basi oraz nie mniej popularnego Jana czy Stanisława. Dzisiaj byśmy to nazwali przeciążeniem systemu, ale wtedy goniec – ze względów zdrowotnych – kończył trasę wcześniej lub dostawał zastępstwo w osobie kolegi lub koleżanki.

Mimo wszystko, produkcja jedwabiu szła dalej, a to było najważniejsze...

SZKOLENIE

Wysłano kiedyś kilku pracowników fabryki na szkolenie do Moskwy.

Szkolenie w tak pięknym mieście – i wtedy – w bratnim kraju, mogło mieć tylko charakter ideologiczny.

I takim faktycznie było.

Po powrocie pracowników z Moskwy zorganizowano spotkanie z partyjnym aktywem fabryki, żeby ideologicznie szkoleni koledzy mogli opowiadać czego się nauczyli.

Jeden ze szkolących się stwierdził, że trudno było być trzeźwym, co faktycznie mogło mieć miejsce, bo grupa integrowała się przez cały czas szkolenia.

Jednak to nie on był gwiazdą spotkania.

Drugi ze szkolących się w Moskwie z przekonaniem stwierdził, że nam wszystkim do prawdziwego komunizmu już niewiele brakuje.

I wtedy zapadła głucha cisza...

Część osób przeraziła się i padł na nich błady strach.

I nawet pierwszy sekretarz partii zaniemówił.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA

Fabryka jedwabiu w Chodakowie była miejscem licznych strajków organizowanych na przełomie 1980 i 1981 roku przez Związek Zawodowy „Solidarność”.

Podobnie jak w wielu innych zakładach domagano się poprawy warunków pracy i płacy oraz zaopatrzenia w podstawowe produkty żywnościowe. O ile w innych przedsiębiorstwach zatrzymanie maszyn wiązało się tylko i wyłącznie z ograniczeniem produkcji, o tyle w Chodakowie sytuacja była bardziej złożona.

Zatrzymanie maszyn przędzalniczych przy ciągłej produkcji jedwabiu wiązałoby się z bardzo poważnymi konsekwencjami produkcyjnymi.

Wiedzieli o tym wszyscy – od dyrektora, na prostym robotniku kończąc.

Przyszedł jednak taki dzień, kiedy i o kosztach zapomniano.

Historię, którą chcę przytoczyć, opowiedział mi jeden ze strajkujących.

Od początku wydawała mi się niewiarygodna. Nikt inny mi jej później nie potwierdził...

Ale do rzeczy!

Trwa właśnie strajk na oddziale przędzalni. Padają coraz to nowe postulaty, a dyrektor tak naprawdę już nie wie, co zrobić, aby sytuację opanować.

W pewnym momencie pada postulat zatrzymania maszyn przędzalniczych.

Głosowanie. Większość jest za wyłączeniem.

I wtedy jeden z kierowników zwraca się do strajkujących:

- Dobrze, wyłączajcie maszyny. Ale najpierw zaśpiewajmy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

I wtedy ktoś inny zaintonował słowa hymnu. Zaczęto śpiewać.

Po kilku minutach nastąpiła głucha cisza...

Maszyn nie wyłączono i w niedługim czasie przystąpiono do pracy.

Nie wiem czy historia ta wydarzyła się naprawdę. Czy tylko ktoś ją wymyślił bądź źle zinterpretował...

Ale gdyby wydarzyła się naprawdę, miałaby wymiar symboliczny.

Kiedy w 1981 roku organizowano strajki w fabryce, nikt nie przypuszczał, że za dziesięć lat ktoś inny zatrzyma produkcję jedwabiu bez żadnego strajku i nikt już nie zaśpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła”.

A gdyby powiedziano wtedy robotnikom:

- Za dziesięć lat już nie będzie tu fabryki jedwabiu i wy w ogóle nie będziecie tu potrzebni!

Czy ktoś by w to uwierzył?

Raczej nazwano by go, mówiąc oględnie, niepoprawnym pesymistą.

A mówiąc po ludzku, komuchem i partyjnym sługusem.

Wszystkiemu była przecież winna nieboszczka partia, a wiadomo powszechnie, że za stosunki z nieboszczykiem był i jest paragraf...

Tylko dlaczego wielkim przegranym okazał się jedwab wiskozowy produkowany w Chodakowie od przeszło sześćdziesięciu lat?

E.WEDEL – DAWNIEJ 22 LIPCA

Większości osób firma E.Wedel kojarzy się z wyśmienitymi wyrobami czekoladowymi.

Były jednak kiedyś takie czasy kiedy firma ta nazywała się zupełnie inaczej. Do 1989 roku były to Zakłady Cukiernicze 22 lipca – z dopiskiem – dawniej E.Wedel.

Pamiętam, jak na początku lat osiemdziesiątych pani Hania Król, ikona chodakowskiej Solidarności, na jednym ze spotkań z dyrektorem fabryki jedwabiu nie wierzyła mu do końca w obietnice, jakie składał załodze.

Podczas dyskusji powiedziała między innymi, że uwierzy w te wszystkie dyrektorskie obietnice tylko wtedy, jak Zakłady Cukiernicze 22 lipca – dawniej E. Wedel będą nazywały się E. Wedel – dawniej 22 lipca.

Wypowiedź ta stała się później jedną z kultowych w fabryce.

Dobitnie obrazowała, jak władza rozmawiała z Solidarnością i na każdym kroku szykowała podstępne rozwiązania.

Kiedy dzisiaj po wielu latach nie ma już samodzielnej firmy E. Wedel ani tym bardziej firmy pod nazwą „22 lipca” – trochę inaczej patrzymy na świat, który na naszych oczach zmienił się nie do poznania.

BIBLIOTEKA ZAKŁADOWA

Od zawsze była miejscem licznych spotkań i dyskusji. Tak naprawdę nie tylko o książce. Liczyła przeszło dziesięć tysięcy woluminów, nie wspominając całych roczników licznych periodyków z zakresu przemysłu chemicznego i włókien sztucznych.

Początki jej istnienia sięgają okresu międzywojennego.

To wtedy powołano do życia bibliotekę, która służyła kadrze technicznej różnych szczebli a z biegiem lat stała się też biblioteką popularno-naukową.

W okresie okupacji większość woluminów uległa rozgrabieniu, jednak zaraz po wyzwoleniu reaktywowano bibliotekę i nadano priorytet w zakupach książek do nauki przedmiotów ścisłych, technicznych, budownictwa, itp. Oczywiście, były też kupowane książki o charakterze ideologicznym związane z panującym wtedy ustrojem, jednak stanowiły one nieznaczny procent zakupów.

Bibliotekę zakładową pamiętam z końca lat siedemdziesiątych, kiedy jej kierownikiem była pani Halina Janiszewska.

Zawsze, kiedy odwiedzałem bibliotekę, witała mnie mówiąc:

– *Dzień dobry panie magistrze!*

A kiedy wchodził jakiś inżynier zawsze było słycać:

– *Dzień dobry panie inżynierze!*

Trochę kłopotów było przy tytułowaniu magistra inżyniera, ale pani Halina jakoś dawała sobie z tym radę. Przyznam, że trochę deprimowało mnie to powitanie z magistrem w tle. Kiedyś nawet rozmawiając z panią Haliną powiedziałem, że co prawda jestem magistrem, ale to wcale nie oznacza, że należy mówić do mnie „Panie magistrze”.

Wolałbym na przykład „Dzień dobry panie Waldku”.

Ostatecznie – „Dzień dobry panie Waldemarze”.

Nic z tego... Pani Halina była w tym zakresie nieugięta, można nawet powiedzieć o poglądach nie z tej epoki i tradycyjnie nigdy nie dała się przekonać.

Tak naprawdę biblioteka zakładowa miała swój specyficzny klimat, zawsze można było usiąść w fotelu przy ławie, poczytać książkę czy poszukać interesującego artykułu.

Wraz z upadkiem produkcji jedwabiu wiskozowego upadła również i biblioteka. Część woluminów została sprzedana lub rozdana pracownikom, a reszta, jak myślę, stanowiła wsad makulaturowy dla pobliskiej fabryki papieru.

Szkoda, że po zakładowej bibliotece nic nie zostało.

Najbardziej boli mnie fakt, że to wszystko, co pieczołowicie gromadzono przez lata, przepadło i zostało przekazane na makulaturę.

Szkoda licznych przedwojennych i powojennych woluminów i całych roczników prasy fachowej.

Czasem brakuje mi także powitania:

– *Dzień dobry panie magistrze!*

Brakuje także pani Haliny, która była dla wielu z nas postacią kultową i nie do podrobienia...

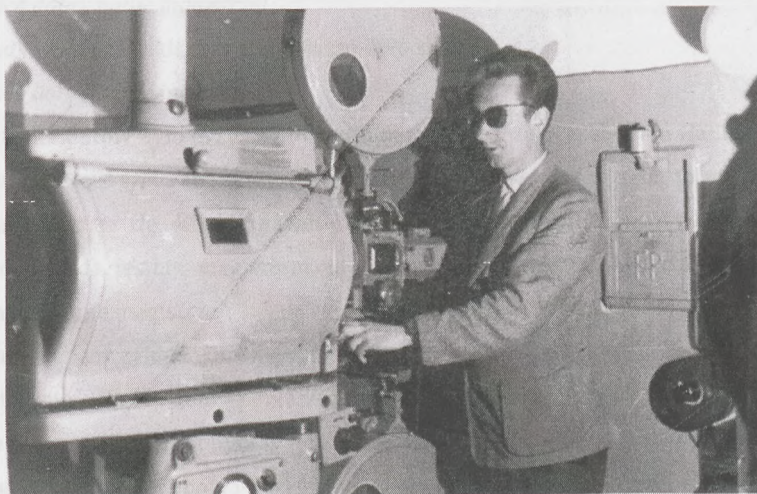
KINO „PALOMA”

W starym drewnianym domu kultury w Chodakowie mieściło się kino o dźwięcznej nazwie „Paloma” Gołąbek (czytaj gołąbek pokoju), o którym wielokrotnie pisano i mówiono na wielu akademiach, spotkaniach i zlotach.

Na pewno miało to związek ze słynnym gołąbkiem autorstwa Pabla Picassa.

W każdym bądź razie chodakowskie kino było, jak na ówczesne czasy, nowoczesne i nawet taśma filmowa nie rwała się podczas każdej projekcji. Starsi mieszkańcy Chodakowa pamiętają jeszcze wcześniej funkcjonujące kino „Związkowiec”, w którym projektor filmowy stał na sali, a operatorzy dwoili się i troili, aby projekcja przebiegała bez przerw wśród gwizdów niezadowolonej części publiczności. W kinie „Paloma” sala widowiskowa była już trwale oddzielona od pomieszczenia dla operatorów. Można powiedzieć – pełny komfort, jak na tamte czasy i tamte uwarunkowania.

Pierwszy panoramiczny film w kinie „Paloma” wyświetlono 22 lipca 1962 roku, a była nim koprodukcja czesko-francuska, pt.: „Miłość w górach”. Kino „Paloma” istniało do połowy lat sześćdziesiątych, kiedy to spłonął stary dom kultury.



Marian Gonta przy starym projektorze, druga połowa lat 50-tych



~ K I N O ~

Jakie filmy zobaczymy w kinie „Paloma” w Chodakowie w m-cu czerwcu 1964 r.

2 — 4	„GDZIE JEST GENERAL” prod. polskiej	od lat 12
5 — 7	„VIA MARGUTTA” prod. włoskiej	„ 18
9 — 11	„MÓJ DRUGI OZENEK” prod. polskiej	„ 16
12 — 14	„POWIERNIK PAN” prod. francuskiej	„ 12
16 — 18	„KOZARA” prod. jugosłowiańskiej	„ 16
19 — 21	„ZŁOTY CZŁOWIEK” prod. węgierskiej (panor. kol.)	„ 12
23 — 25	„DWA ZEBRA ADAMA” prod. polskiej	„ 16
26 — 28	„CHCEMY SIĘ BAWIĆ” prod. angielskiej (panor. kol.)	„ 12

W LIPCU

30VI—2.VII.	„PIĘTNASTOLETNI KAPITAN” prod. radz. (kolorowy)	„ 12
3 — 5	„SONATY” prod. hiszpańskiej (kolor.)	„ 16
7 — 9	„NAGANIACZ” prod. polskiej (panor.)	„ 16
10 — 12	„CZŁOWIEK Z PIERWSZEGO” STULECIA” prod. CSRS (panor.) ponadto będzie wyświetlany film „PECHOWIEC NA PRERII” prod. USA (kolor.)	„ 12 „ 12

We wrześniu zobaczymy długo
oczekiwany film prod. USA
(kolor.) „PRZEMIEŃLO Z WIA-
TREM”

Wbrew obiegowym opiniom,
że w tamtych czasach wyświetlano tylko filmy radzieckie
– repertuar kinowy z czerwca 1964 roku.

KINO OBJAZDOWE

Po spaleniu się starego drewnianego domu kultury nie było w Chodakowie stacjonarnego kina.

Dawne kino o wdzięcznej nazwie „Paloma” przestało istnieć wraz z pożarem, który strawił wszystko.

Kroniki i filmy trzeba było jednak wyświetlać.

Postanowiono więc, że Chodaków będzie miał kino objazdowe. I tak się stało.

Autobus ze stosownym napisem przyjeżdżał kilka razy w tygodniu i na boisku bocznym chodakowskiej „Bzury” odbywały się seanse filmowe.

Pamiętam jak wyświetlano filmy z popularnym Flipem i Flapem oraz polskie i radzieckie produkcje.

Objazdowe kino nie cieszyło się jednak dużym zainteresowaniem. Nawet, jak na tamte czasy było prowizoryczne i tymczasowe.

Jedyne filmy dla dzieci i młodzieży miały pełną frekwencję, a że taśma filmowa rwała się często w projektorze, to i najmłodszy odwracali się od objazdowego kina.

Nie miały wpływ na projekcje i frekwencję miały także warunki atmosferyczne.

Najgorzej było zimą i późną jesienią, znacznie lepiej wiosną i latem.

W 1968 roku oddano do użytku Kino-Teatr „Mazowsze” i kino autobusem przestało już do Chodakowa przyjeżdżać...

KOŁO FILATELISTÓW

Któż z nas nie zbierał znaczków pocztowych w dzieciństwie, a później w szkole czy w życiu dorosłym? Każdy taki znaczek dokładnie sprawdzony był wkładany później do klasera, który to klaser odkładano na półkę regału. Najpiękniejsze znaczki były oczywiście z odległych krajów, do których podróz w tamtych czasach była raczej niemożliwa.

Tak więc, oglądając kolekcje znaczków, mogliśmy przenosić się w czasie i miejscu i emocje były podobne tym, które towarzyszą jeżdżeniu palcem po mapie fizycznej i politycznej świata.

Klub filatelistyczny działający przy chodakowskiej fabryce liczył kilkaset osób. Przewodniczył mu Włodzimierz Janiszewski, który skrupulatnie prowadził stosowne ewidencje i wydawał znaczki zainteresowanym.

Dzisiaj prawie każdy z nas ma jeszcze gdzieś stary klaser i stare znaczki. Tylko podróz po świecie nie jest już raczej podróz wirtualną, a i wartość znaczków znacznie odbiega od cen zakupu.

W większości mają one obecnie wartość symboliczną, ale dla wielu z nas nie jest to najważniejsze. Stary klaser przypomina bowiem starego człowieka. Niby jest taki sam, jak kiedyś... A przecież mimo wszystko zmienił się nie do poznania...



Oglądanie znaczków, lata 70-te

PAPIEROSY U DZIDKI

Kiedy byłem jeszcze młody (uczniem szkoły podstawowej) ciągnęło mnie czasem do zapalenia papierosa. Nie byłem w tym jednak osamotniony.

Moi koledzy mieli to samo pragnienie, ale nie wszędzie mogliśmy kupić zakazany towar.

Jednym z nielicznych miejsc w Chodakowie, gdzie można było dokonać takiej transakcji był kiosk spożywczy prowadzony przez starszą panią – zwaną Dzidką, która bez wahania sprzedawała dzieciom i młodzieży papierosy różnych marek.

Kiosk mieścił się na wylocie z Chodakowa w kierunku Żelazowej Woli.

Największym powodzeniem cieszyły się papierosy „Mentolowe”, po zapaleniu których było podobno mniej czuć, ale równie dobrze sprzedawały się „Sporty” (po dziesięć sztuk), czy tak zwane „Płaskie”. Palenie papierosa w tamtym czasie to było coś, co podobno „dowartościowywało” człowieka.

Taka papierosowa inicjacja...

Aby mieć jednak pieniądze na zakup zakazanego towaru, trzeba było na niego jakoś zarobić. Najprostszym sposobem było zbieranie butelek przy budynkach dawnego chodakowskiego folwarku, a następnie sprzedawanie ich w sklepie monopolowym w budynku pani Zduńskiej – najwięcej po dziewięć sztuk na łebka, ponieważ dziesiąta butelka była zwykle na tak zwaną stłuczkę i by się zmarnowała!

Palenie papierosów nie pociągnęło mnie jednak na długo. Wolałem później kupować napoleonki, bezy czy ciastka z kremem.

Niestety wielu moich kolegów „zaprzyjaźniło” się z papierosem na lata i bardzo trudno było im później z tego nałogu zrezygnować.

Dzisiaj nie ma już oczywiście kiosku prowadzonego przez panią Dzidkę, ale pamięć o niej pozostała.

ŚWIĘTA KAZIA

Dla wielu dzieci przychodzących do kościoła w Chodakowie była prawdziwym utrapieniem. Ustawiała je w szeregu, czasem też szturchała, ciągnęła za uszy i nie znosiła żadnego sprzeciwu. Spotkanie z panią Kazią nie należało więc do ciekawych i mile wspomnianych w dzieciństwie.

Była jak postrach, diabeł wcielony, ale pracowała przecież dla kościoła i w kościele...

Kiedy proboszczem chodakowskiej parafii został ksiądz Bronisław Stawicki, pani Kazia „grała pierwsze skrzypce” i była nie do zastąpienia. Co prawda nie uczyła religii, ale była osobą niezwykle wpływową w parafii.

Kiedys podczas jednej z uroczystości jedna z dziewczynek recytowała księdzu proboszczowi Stawickiemu wiersz z okazji jego urodzin. Ksiądz proboszcz niezwykle wzruszony zapytał po chwili:

- *Kto cię dziecko nauczył takiego pięknego wierszyka?*

Dziewczynka nie namyślając się długo, odpowiedziała:

- *Święta Kazia...*

I tak oto przybyła chodakowskiej parafii kolejna święta...

LODÓWKA NA KLUCZYK

Była sobie pewna lodówka. W odróżnieniu od wielu innych miała jednak swój kluczyk. Kluczyk, jak to kluczyk, służył do zamykania. Dzisiaj byłby to chyba cud techniki i świetny sposób na łakomczuszków wszelkiego kalibru.

Lodówka stanowiła element wyposażenia działu wojskowego w dawnym Chemitexie.

Jak opowiadał mi jeden z byłych pracowników działu służyła do zamykania materiałów operacyjnych.

Nie precyzował jednak, jakie to były materiały.

Po wstrzymaniu produkcji jedwabiu w fabryce, dział majątku nieczynnego zajmujący się sprzedażą zbędnych maszyn i urządzeń ogłosił przetarg na sprzedaż kolejnych urządzeń.

Ku wielkiemu zaskoczeniu lodówka licytowana była z wielką determinacją przybyłych na aukcję, a jej cena wywoławcza została podbita wielokrotnie!

– *Wielka szkoda, że nie było więcej takich lodówek* – mówili ci, którzy nie wygrali przetargu.

I tak oto lodówka produkcji radzieckiej o zapewne limitowanej serii stała się prawdziwym chodakowskim hitem.

OGÓREK

Dla wielu chłopaków z Chodakowa był ważnym rekwizytem tanecznym. Idąc na zabawę, nie omieszkali zabierać go ze sobą, podobnie jak papierosów, zapalek, lusterka i grzebienia. W czasie zabawy ogórek wkładali do kieszeni spodni i przytulając się do partnerki czekali niecierpliwie na efekt domina. Śmiechu było czasem co niemiara, ale czego nie robi się dla zabawy. A niektórzy mówili, że ci z dwusiarczkiem już nie mogą i nie potrafią...

ZUPA Z ŻÓŁWIA

Po zakończeniu roku szkolnego jeden z pracowników fabryki miał nie lada dylemat. Jego córka przyniosła o domu żółwia... Pani w szkole zobowiązała bowiem każde dziecko do opieki nad jakimś zwierzątkiem w czasie wakacji.

Jego córce przypadł niczemu nie winien żółw.

I podobno nie było w temacie żółwia odwrotu.

Żółw jak to żółw, chodzi powoli i raczej daleko się nie oddała, ale co mu dać do jedzenia, to już wcale nie jest takie proste.

Sprawą żółwia zainteresowali się więc koledzy i koleżanki zatroskanego taty i każdy jak mógł dodawał mu otuchy, a czasem nawet przynosił coś do zjedzenia dla szkolnego żółwia.

Jak słusznie zauważył kierownik biednego pracownika, najlepiej byłoby od razu zrobić zupę żółwiową i sprawdzić jak zupa smakuje. Na pewno znaleźliby się chętni do konsumpcji i sprawa byłaby ostatecznie załatwiona.

Tylko jak wtedy córka pracownika wytłumaczyłaby się z braku eksponatu oddanego do opieki?

Po trzech tygodniach, mimo troskliwej opieki żółw zdechł.

Jak się po chwili okazało, wszyscy odetchnęli z ulgą. I pracownik, który stał się wydajniejszy w pracy, i jego koledzy, i koleżanki też. Tylko szef tego pracownika kilkakrotnie później powtarzał:

- Szkoda zwierzaka, ale między Bogiem a prawdą byłaby lepsza zupa z żółwia...

DYREKTORSKIE ZAKUPY

Pewnego razu do sekretariatu fabryki przyszedł człowiek z torbą pełną latarek. Wykorzystując fakt nieobecności sekretarki, zapukał do pokoju dyrektora a następnie wszedł i zaoferował dyrektorowi jedną z nich. Zachwalając wysoką jakość produktu importowanego z dalekiego kraju, przystąpił do przedstawienia ostatecznej oferty cenowej:

- Proszę Pana! Ta latarka kosztuje tylko dwadzieścia pięć złotych i jest latarką na lata. Nigdzie indziej podobnej Pan nie dostanie..

Dyrektor litując się trochę nad sprzedającym, wyjął z portfela powyższą kwotę i dał ją obwoźnemu sprzedawcy. Następnie położył latarkę na biurku i sprawdził czy jeszcze świeci. Kiedy sprzedający wychodził z gabinetu, dyrektor zapytał go jeszcze:

- Proszę Pan, a czy ze sprzedaży takich latarek to można wyżyć?

Sprzedający kiwnął głową twierdząco i szybko się ulotnił.

Kilka dni później dyrektor z żoną pojechał na targ do Sochaczewa.

A tam zobaczył takie same latarki, tylko że po pięć złotych.

Kiedy następnym razem ktoś wszedł do jego gabinetu, oferując cokolwiek w ramach handlu obwoźnego musiał gabinet ten opuszczać znacznie szybciej niż do niego wchodził.

GRZYBOBRANIE

Wyjazdy na grzyby w dawnym „Chemitexie” cieszyły się zawsze dużym powodzeniem.

Fabryka wszystko finansowała, tak więc wystarczyło zabrać ze sobą kilka wiklinowych koszy, szczyryki i przysłowiową wałówkę oraz ruszać w las. Wśród wielu takich wyjazdów najbardziej barwne i wesołe były te z udziałem emerytów i rencistów. Podróż zaczynała się zazwyczaj o drugiej w nocy, ale kiedy autobus mijał rogatki Chodakowa, pierwsi chętni „odpalali” butelki z napojem zwanym czystą wyborową i raczyli się prawie do białego rana. Bardzo popularne były wtedy hasła: „na czerwonym świetle nalewamy, a na zielonym pijemy”. I tak od światła do światła, dojeżdżając do miejsca przeznaczenia i postoju, część towarzystwa zasypiała na chwilę, ale była to naprawdę tylko chwila...

Podróżnych można wtedy było podzielić na cztery grupy. Pierwszą stanowili ci, którzy z zapalonymi latarkami wychodzili z autobusu i szli od razu do lasu, druga grupa to ci, którzy odczekali chwilę i również poszli na grzyby. Trzecia grupa grzybiarzy mogła jedynie wyjść z autobusu i na kocyku obok na trawie położyć się i zasnąć, a czwartą stanowili ci, którzy nie byli już w stanie wyjść autokaru.

O dziwo, najwięcej grzybów i to tych najbardziej szlachetnych, i dorodnych mieli ci co na kocyku i w autobusie. Ale jakim cudem tak się stało, to była już ich słodka tajemnica. Pamiętam, jak podczas jednego z takich wyjazdów kilku emerytów założyło się czy kolega zje surowego borowika czy nie... Finałem borowikowego dania było płukanie żołądka delikwentowi w szpitalu w Ciechanowie, co trwało kilka godzin. Jak się później okazało delikwent był honorowym dawcą krwi i tylko dzięki temu był hospitalizowany poza kolejnością. A trwało to podobno i tak szybko. Tak więc grzybobranie zaczynało się o drugiej w nocy jednego dnia a kończyło się o drugiej w nocy następnego. Dzisiaj takie wyjazdy są już tylko wspomnieniem, ale zebrane grzyby zawsze smakowały jak nigdy.

KLUB TECHNIKI I RACJONALIZACJI

Powstał w połowie lat pięćdziesiątych. Mieścił się w drewnianym pawilonie na obecnej ulicy Chodakowskiej. Obok Klubu był parking rowerowy i motocyklowy oraz łaźnia zakładowa.

Pamiętam jak przychodziłem z tatą do klubu, żeby pograć w bilard z grzybkiem, a czasem nawet w prawdziwy bilard z bilami i kijem bilardowym.

Zawsze wieczorem Klub Techniki i Racjonalizacji tętnił życiem i był pełen pracowników z chodakowskiej fabryki.

Było to jedno z niewielu miejsc, w którym w wolnej chwili można było spotkać się z przyjaciółmi, zagrać w bilard czy popoglądać telewizję. Pamiętam charakterystyczny zapach papierosowego dymu zmieszanego z zapachem kawy czy herbaty przygotowywanej przez panią opiekującą się obiektem.

Także ciastka oferowane do sprzedaży przesiąknięte były papierosowym dymem.

Papierosy palono nieustannie i bez pardonu. Taka była wtedy moda i wielu trzymało fason.

W klubie Techniki i Racjonalizacji odbywały się także spotkania korespondentów „Głosu Chodakowa” oraz liczne narady różnych kół zainteresowań.

Kiedy zakupiono pierwszy kolorowy telewizor sala telewizyjna pękała w szwach.

Wszystko nagle z czarno białych barw stało się kolorowe. Niektórzy nie mogli się nadziwić, widząc kolorowe ryby w oceanie – nie wspominając o prezynterach dziennika telewizyjnego.

Największa frekwencja była oczywiście podczas meczów pucharowych.

Trawa nie był szara lecz zielona, a i koszulki drużyn przeciwnych były bardziej widoczne.

Klub Techniki i Racjonalizacji rozebrano pod koniec lat osiemdziesiątych.

Bilard i pozostałe wyposażenie sprzedano, a drewno poszło na opał.

NIECH PAN TO NAPISZE

Jedną z najlepszych form komunikacji w dawnej fabryce jedwabiu były narady. Narady produkcyjne, narady partyjne, narady wydziałowe, oddziałowe, narady u dyrektora, kierownika i wiele innych o podobnym charakterze.

Niektórzy chodzili więc cały czas na narady i na tym polegała ich praca. A nie była ona wcale taka łatwa. Ileż to kaw trzeba było wypić, ile słonych paluszków skonsumować, a czasem też i zabrać głos w niezwykle ważnej sprawie. Byli też i tacy, którzy na wspomnianych naradach przez cały czas mówili i mówili. I tak bez końca...

Jak poprawić dyscyplinę pracy, jak zwiększyć procent pierwszego gatunku, jak obniżyć koszty i tak dalej...

Pamiętam, jak podczas jednej z takich narad u dyrektora, któryś z kierowników cały czas podawał sposoby na poprawę sytuacji w zakładzie. W końcu dyrektor nie wytrzymał i powiedział:

- Drogi kolego, niech kolega to wszystko co powiedział, napisze na kartce papieru i złoży w sekretariacie.

Kiedy zorganizowano kolejną naradę produkcyjną, wieczny mówca jakoś nie zabierał głosu...

Podobno też nic nie złożył na piśmie u sekretarki dyrektora.

I tak w bardzo prosty sposób dyrektor zdyscyplinował część załogi. Ważne są konkrety a nie jałowe gadanie.

Innym razem, kiedy na oddziałach produkcyjnych zgłaszano jakieś niepopularne hasła bądź krytykowano przełożonych, ktoś usłużny z prezydium pytał zgłaszającego postulaty o imię i nazwisko oraz o oddział, w którym pracuje.

I na tym dyskusja się kończyła...

DENATURAT STORY

Praca w zaopatrzeniu chodakowskiej fabryki jedwabiu nie należała do łatwych. Dla wielu był to jeden z newralgicznych działów pozaprodukcyjnych, ale ci którzy już tu pracowali – można powiedzieć – że z nie jednego pieca chleb jedli.

W połowie lat osiemdziesiątych podczas niezwykle mroźnej zimy, kilku pracowników zaopatrzenia razem z kierownikiem wyjechało do Łodzi, do zjednoczenia, celem złożenia dokumentów do akceptacji zakupów dewizowych. Tradycyjnym – wtedy – środkiem lokomocji był samochód osobowo- towarowy, tzw. Towos. Osoba siedząca obok kierowcy otrzymała przed wyjazdem dwie butelki denaturatu, w celu przecierania szyby od strony kierowcy, aby ten mógł widzieć, gdzie jedzie. Ponieważ zaśnieżona i oblodzona droga nie należała do bezpiecznych, podróż trwała przeszło dwie i pół godziny, a i denaturat poszedł ekspresowo. Kiedy delegacja z Chodakowa weszła do biurowca zjednoczenia wszyscy pachnieli denaturatem, co oczywiście zostało zasygnalizowane podczas powitania.

Jakoś nie wypadało zapytać czy denaturat smakował, ale cały czas jego charakterystyczna woń unosiła się w powietrzu.

Kiedy już rozmowy dobiegły końca i dokumenty zostały zaakceptowane, przyszedł do biura zjednoczenia kierowca chodakowskiego samochodu i zapytał

- *Panowie, macie denaturat, bo nasz poszedł jak woda?*

PIASKI KRÓLEWSKIE

Na Piaski Królewskie jeszcze do końca lat sześćdziesiątych jechało się popularną ciuchcią.

Kolonie dla dzieci i wczasy pracownicze zawsze cieszyły się dużym zainteresowaniem.

Pierwszy turnus zorganizowano w połowie lat pięćdziesiątych.

W drewnianych pawilonach, w wieloosobowych salach, mieszkali mali koloniści, a bliżej torów kolejowych i bramy głównej po lewej stronie od wjazdu rozlokowano pracownicze domy campingowe.

Każdy z takich domów wyposażony był w podstawowe meble do zamieszkania a także miał swoją nazwę, na przykład „Jaś i Małgosia”.

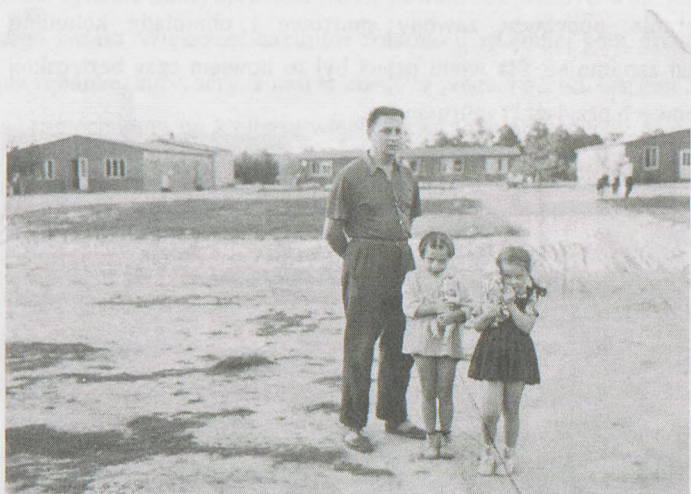


Wczasy pracownicze w Piaskach Królewskich, początek lat 60-tych

Posiłki wydawano na stołówce, wokół las i woda, a przede wszystko świeże powietrze.

Na kolonie w Piaskach Królewskich przyjeżdżały dzieci z całego kraju. Wszystko odbywało się w ramach wymiany kolonijnej między zaprzyjaźnionymi zakładami przemysłu chemicznego.

Tak więc, jadąc na kolonie, można było spotkać późniejszych kolonijnych kolegów i koleżanki z Łodzi, Lublina, Wrocławia, Krakowa czy Kamiennej Góry.



Piaski Królewskie, fotografia rodzinna

Każdy kolonijny dzień rozpoczynał się poranną zaprawą, która nie przez wszystkich (podobnie jak poobiednie leżakowanie) była lubiana. Jednak ciągle wycieczki do lasu, gra w piłkę, zajęcia na basenie rekompensowały to całkowicie. Oczywiście, każdego dnia odbywał się poranny apel na placu apelowym i czasem trzeba było wystąpić przed szereg otrzymując nagane za złe sprawowanie.

Kolonie miały zawsze opiekę lekarza i pielęgniarki.

Dużym atutem było kolonijne jedzenie, zawsze smaczne i czasem nawet w nadmiernych ilościach.

Zawsze ciekawe były wycieczki do Warszawy, Żelazowej Woli, Łowicza, Arkadii i Nieborowa. Szczególnie dla kolonistów z odległych zakątków kraju była to wielka atrakcja.

Także wieczorki taneczne miały swój urok, kiedy zespół „Demony” grał swoje najlepsze kawałki.

Śpiewanie przy ognisku, występy artystyczne na prowizorycznej scenie. To wszystko miało swój czar i jak na tamte czasy było nie do zastąpienia.

Grzybobrania, podchody, zawody sportowe i olimpiady kolonijne trudno do dzisiaj zapomnieć. Dla wielu dzieci był to bowiem czas beztroskiej zabawy i świat nowych przyjaźni i zauroczeń.



Koloniści na stołówce, koniec lat 50-tych



Piaski Królewskie, fotografia zbiorowa, początek lat 60-tych

ZAKOPANA APARATURA

Po ogłoszeniu stanu wojennego dla wielu osób nastały ciężkie czasy.

Tak naprawdę żyło się skromnie i cieszyło z pracy, która dawała przynajmniej namiastkę godziwego życia. Fabryka jedwabiu, podobnie jak wiele innych podobnych zakładów ruchu ciągłego, była też pod stałym nadzorem wielu służb i organizacji. Tym nie mniej życie toczyło się powoli, bez przepychu ani namiastek dzisiejszego świata. Większość zakupów robiono u znajomej pani przynoszącej tak zwana rąbankę, kury, sery, a nawet masło w postaci osełki. Czasem zdarzało się jechać samochodem po kiełbasę wiejską, kaszankę oraz salceson. Wyprawie takiej towarzyszył jednak strach przed zatrzymaniem samochodu przez patrol milicji na rogatkach miasta, co często kończyło się zarekwirowaniem z ciężkim trudem zdobytego towaru. Jak mówił mój znajomy, zawsze po takiej milicyjnej akcji cała sochaczewska komenda miała później niezłą wyzerkę, bo towar nie mógł się przecież zmarnować.

Ciekawą historię z tamtego okresu opowiedział mi kiedyś kolega, chemik z wykształcenia. W obawie przed zdekonspirowaniem, kilku pracowników tutejszej fabryki jedwabiu postanowiło zakopać aparaturę do produkcji napoju sprzedawanego dzisiaj tylko z akcyzą. Aparatura była przedniej klasy, wszystko najlepszej jakości. Aparaturę postanowiono złożyć w specjalnej skrzynce i odpowiednio zakonserwować. Pracownicy pojechali więc do lasu w Wólce Smolanej, wykopali dół i złożyli „sprzęt” z całym ceremoniałem pół metra pod ziemią. Następnie wypili kilka flaszek, debatując o ciężkiej sytuacji życiowej. Kiedy odjeżdżali starym maluchem wiejską drogą, nie przypuszczali jeszcze, że kilka dni później miejsce złożenia aparatury będzie trudne do zlokalizowania. Brak orientacji w terenie okazał się bezlitosny. Pamiętali, że jechali do lasu, pamiętali, że była to Wólka Smolana... Tylko zapomnieli, która ścieżka, i które drzewo miało być drogowskazem i znakiem szczególnym.

Tak więc do dnia dzisiejszego, gdzieś w lesie leży sobie spokojnie aparatura odpowiednio zakonserwowana i czeka na jej odkrycie.

ŚLUBOWANIE

Podczas kościelnych rekolekcji kilku pracowników fabryki jedwabiu w Chodakowie przyrzekło uroczyście, że nie wypiją już ani kropli alkoholu. Co bardziej prezorni podczas ślubowania dodali pośpiesznie:

- ...oprócz pierwszego kieliszka

I tak już zostało.

Wychowanie w trzeźwości obywateli w czasach socjalistycznej rzeczywistości było jednym z nadrzędnych i powszechnie głoszonych haseł, tylko niezwykle trudnym do realizacji.

Tak więc, nauka kościoła w tym temacie mogła być tylko uznana za swoją i to bez żadnych komplikacji.

Wszystko byłoby wspaniałe i urocze, tylko od razu rodził się dylemat, jak tu nie wypić po załatwieniu ważnej sprawy lub podczas biesiady na imieninach u kolegi lub koleżanki.

Najgorzej zazwyczaj mieli ci, którzy stanowczo odmawiali spożycia zakazanego napoju, a znaleźli się służbowo na przykład poza granicami kraju i to jeszcze po tej wschodniej stronie.

Tłumaczenie kontrahentom z jakiego to powodu nie biorą oni alkoholu do ust było czasem karkołomnym zajęciem kończącym się zazwyczaj zrozumieniem strony przeciwnej, że sprawa może mieć polityczne akcenty rodem z KGB. Znacznie lepiej było w przypadku kolegów, którzy mogli wypić pierwszy kieliszek. Nalewano im wtedy do wazonu po kwiatkach całą butelkę i słowo przyrzeczone nie było złamane.

Czasem jednak występował dylemat czy można od czasu do czasu skosztować dobrego wina lub nalewki sąsiada lub sąsiadki. Z winem było łatwiej o wytłumaczenie, bo wino mogło być mszalne... A nalewka jak to nalewka, wlana na przykład do tortu smakowała inaczej...

A i tort był już nie ten sam...

WSPOMNIENIE NIKIFORA

W latach sześćdziesiątych minionego wieku drużyna hokejowa chodakowskiej „Bzury” rozgrywała mecze z drużyną hokejową Krynicy.

Dzisiaj trudno jest wyliczyć ile takich spotkań zakończyło się zwycięstwem naszej drużyny, ale wspomnienie krynickiego malarza Nikifora nie daje spokoju nawet do dnia dzisiejszego niektórym chodakowskim zawodnikom.

Jak wspomina Jan Ulmer, jeden z czołowych zawodników z Chodakowa, Nikifor często przychodził do naszych zawodników ze swoimi malunkami i chciał je sprzedać.

Ceny nie były wygórowane. Jeden obrazek – jedna flaszką, dwa obrazki – dwie flaszką, ale jakoś nikt nie chciał się skusić.

- Kiedy dzisiaj o tym myślę – mówi Jan Ulmer, to aż mnie złość bierze, że nie kupiłem tych obrazków.

Ale wtedy, kto by przypuszczał, że teraz będą tyle warte...

Czasem żał mi było tego Nikifora, który tak nas wtedy prosił, abyśmy dali mu na flaszkę i cokolwiek kupili...

Również i moi rodzice, którzy lubili wyjeżdżać do Krynicy, czasem – podczas opowiadań – rodzinnych wspominali Nikifora.

Zazwyczaj na krynickim deptaku prezentował on swoje prace, jednak chętnych do zakupu nie miał jednak zbyt wielu...

Z krynickich opowiadań mojej mamy najbardziej utkwiło mi w pamięci to, o odwiedzinach u taty. Mama, zaraz po szkoleniu stomatologicznym w jednym z krakowskich szpitali, pojechała do mojego taty. Podczas wieczoru tanecznego mój tata przedstawił współbiednikom swoją współtowarzyszkę mówiąc:

- Oto moja żona...

Po chwili jeden z kuracjuszy oznajmił twierdząco mrugając okiem kilka razy:

- My tu wszyscy z żonami...

ROZMOWA KONTROLOWANA

W połowie lat osiemdziesiątych jednym z moich hobby było robienie wywiadów i publikacja ich w prasie wojewódzkiej i centralnej.

Każde takie spotkanie ze znaną postacią było dla mnie niezwykłą przygodą i jednocześnie wyzwaniem czy podołam...

Z biegiem czasu zachowywałem się już jak rasowy dziennikarz, nie mający tremy przed rozmówcą. Czasem zbierałem materiał, telefonując do wybranych osób, z reguły aktorów lub pisarzy. Pamiętam jak przygotowywałem sondę świąteczną, pod tytułem „Co chciałby Pan/ Pani otrzymać na gwiazdkę tego roku?”

Część osób odpowiedziało mi listownie, a z pozostałymi rozmawiałem przez telefon. Nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych i połączenia odbywały się przez centralę telefoniczną chodakowskiej fabryki. Kiedy już tak odpytałem Magdę Zawadzką, Gustawa Holoubka i parę innych osób, pani na łącznicy nie wytrzymała i zapytała mnie nieśmiało – Panie Waldku, co za wspaniałe rozmowy. Może mi pan zdradzi... Kto następny?

GRABARZ

Pamiętam jak umarł mój dziadek.

Leżał w łóżku i dziwnie patrzył przed siebie. Wcześniej rzadko wstawał.

Coś mówił, o coś pytał, dokładnie nie pamiętam. Poprosił babcię o herbatę i coś do zjedzenia...

Podobno ludzie, którzy mają zaraz umrzeć są głodni i wszystko jedzą oczami.

Nie zdążył. Umarł w czasie gdy babcia przygotowywała kanapki...

Następnego dnia pojechałem z tatą na cmentarz w Trojanowie.

Szukaliśmy grabarza, który jak to każdy grabarz był ciągle zajęty kopaniem kolejnych grobów. Kiedy podeszliśmy do grobu, który akurat kopał, tata nachylił się nad dołem i zapytał, kiedy będzie miał czas, by wykopać grób dla mojego dziadka.

Grabarz wychylił się i z czaszką trzymaną w rękę i zapytał:

- Panie Fredku, patrz pan, musiała być jakaś młoda babeczka, miała wszystkie zęby i to jeszcze w jakim dobrym stanie!

Tata zaniemówił, a garbarz, jak to każdy grabarz, ciągnął dalej...

- A pan Edward to już mocno stary był, choć jak na swoje lata całkiem nieźle się trzymał. Najwyższy czas, najwyższa pora...

Kiedy po chwili grabarz wyjął jeszcze stare buty i powiedział:

- Patrz pan panie Fredku, jak nowe, jakie to kiedyś buty robili... odeszliśmy z tatą do księdza proboszcza.

I pomyśleć, że świat duchowy zawsze przeplata się ze światem rzeczywistym. Dla jednych śmierć bliskich jest szokiem i wielką stratą ukochanych ludzi, a dla innych kopaniem kolejnego grobu dla pieniędzy.

Wielokrotnie później zastanawiałem się, kim była ta kobieta, której opuszczony i zapomniany grób rozkopał grabarz z Trojanowa. Być może mieszkała kiedyś w Chodakowie i pracowała w fabryce jedwabiu.

A później zmarła... I nie pozostał już po niej żaden grób i żadna stara fotografia...

I tylko ta czaszka i buty trzymane w rękę grabarza...

STARA FOTOGRAFIA...

Jest jedną z wielu moich wielu pasji.

Kolekcjonowanie starych fotografii i opisywanie starych zakładów fotograficznych jest ciągłym poszukiwaniem śladów naszej historii...

Historii wielu miast i miasteczek, o której często zapominamy, bądź przechodzimy obok niej obojętnie.

Czasem zdarza się, że nie ma wśród nas nikogo, kto potrafiłby przybliżyć minione czasy i poprzez stare fotografie opowiedzieć historie różnych ludzi.

Historii naszych rodzin i obcych osób, o których to osobach z każdym odchodzącym pokoleniem coraz mniej wiemy...

Historia starych zakładów fotograficznych z Łowicza, Skierniewic i Żyrardowa stanowi tylko namiastkę tego wszystkiego, co możecie Państwo znaleźć na moim portalu www.starafotografia.pl.



ZAPOMNIANI FOTOGRAFOWIE ZE SKIERNIEWIC

Każda fotografia ma swoją historię...

Dla wielu z nas jest to jednak historia zapomniana...

O skierniewickich zakładach fotograficznych z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku próżno szukać informacji w aktualnie wydawanych periodykach i pozycjach książkowych. Temat starej fotografii przypomina zapomnianą książkę, po którą po latach sięgają nieliczni skierniewiczanie bądź osoby w ogóle nie związane z miastem. Z reguły są to różnego rodzaju pasjonaci, nazwijmy to starej fotografii i pocztówki, którzy starają się odtworzyć różnego rodzaju fakty z historii miasta i tak naprawdę tylko dzięki ich poszukiwaniom można odnaleźć ślady dawnych wydarzeń, opisać historię ulic i placów, historię rodzin oraz pojedynczych osób...

Tak też jest w przypadku starych zakładów fotograficznych. Literatura w tym zakresie jest bardzo uboga. Jedną z nielicznych pozycji książkowych jest „Spis polskich fotografów i firm fotograficznych działających w latach 1839-1914” pod redakcją Jadwigi Ihnatowicz i Andrzeja Piotrowskiego, wydany nakładem Andrzeja Piotrowskiego w 1996 roku. W książce tej wymienione zostały następujące zakłady fotograficzne w Skierniewicach:

- KARPENSTEIN

- Lipman Karp

- Daniel Przedecki oraz Bracia Przedeccy

- Józef Snoch i W. Snoch

Inną pozycją, wydaną na Ukrainie, której autorem jest Michał Żur, jest opracowanie, pt.: „Fotografowie i zakłady fotograficzne Królestwa Polskiego i Litwy. Imperium Rosyjskie do 1918 roku”. W opracowaniu tym wymieniony został tylko jeden zakład fotograficzny w Skierniewicach, którego właścicielem jest Daniel Przedecki, syn Leizera. Z kolei w księgach Cechu Rzemiosł we Włocławku wymieniony jest Leizer Herszt Przedecki jako fotograf w mieście.

Próżno szukać innych pozycji książkowych. Temat starych zakładów fotograficznych wydaje się nieznanym i nieopisanym.

Zanim jednak zaczęły powstawać w Skierniewicach pierwsze zakłady fotograficzne, miasto było odwiedzane, podobnie jak wiele innych, przez tak zwanych „fotografów wędrownych”. Atelier fotografa wędrownego w tamtych czasach stanowił namiot, w którym rozkładał wcale niemały sprzęt fotograficzny – począwszy od statywu, aparatu fotograficznego, a skończywszy na szklanych płytach i odczynnikach chemicznych, niezbędnych do wywołania fotografii. Fotografowie wędrowni, przybywając do kolejnych miast, ogłaszali się w prasie lokalnej lub poprzez papierowe ulotki – podając w nich miejsce fotografowania oraz termin odebrania fotografii. Fotografia w tamtych czasach była traktowana jako „coś z innej epoki”, a sam fakt przyjscia do atelier był jak święto lub inne ważne wydarzenie w życiu fotografowanego. Można było przecież otrzymać na kartce papieru swoją postać i w ten oto sposób uwiecznić siebie dla potomnych.

Z biegiem czasu zawód fotografa wędrownego zaczął zanikać, a fotografowie osiedlali się w kolejnych miastach i miasteczkach, gdzie budowali profesjonalne atelier.

Pierwszym zakładem fotograficznym w Skierniewicach był zakład przy ulicy Senatorskiej, otworzony naprzeciw kościoła, w domu W-go Bindra. Należał on do Lipmana Karpa, który – wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom, że nie był rodowitym skierniewiczanie – okazał się być nim od urodzenia. Dowodem na to jest akt zgonu z 1924 roku, do którego dotarłem dopiero kilka lat temu.

Lipman Karp pod koniec dziewiętnastego wieku otworzył tutaj swój kolejny po Białej, Nowym Mieście oraz Rawie zakład fotograficzny. Jak podaje Edward Włodarczyk, autor książki, pt.: „Z dziejów Żydów skierniewickich” wydanej w 1993 roku, w Skierniewicach w okresie międzywojennym żyły następujące osoby o tym nazwisku: Karp Ides, Karp Rojze, Karp Gawrych, Karp Bruche, Karp Mordka i Karp Szlame. Trudno dzisiaj jednoznacznie określić czy osoby te były spokrewnione z Lipmanem Karpem, choć nie jest to wykluczone.

W pierwszych latach dwudziestego wieku powstał w Skierniewicach drugi zakład fotograficzny. Należał on do Daniela Przedeckiego. Zakład znajdował się na rogu Rynku i ulicy Senatorskiej i miał swoje filie w Żyrardowie i Brzezinach.

Kolejnym zakładem fotograficznym była Fotografia Artystyczna Karpenstein na ulicy Senatorskiej pod numerem 33. Dzisiaj trudno szukać budynku o tym numerze. Najprawdopodobniej nie przetrwał do czasów współczesnych, chyba że zmieniła się nieco numeracja budynku na tej skierniewickiej ulicy. Niestety możemy się tylko domyślać, kto był jego właścicielem. Według jednej wersji, zakład należał do Lipmana Karpa, według drugiej mógł być związany z zakładem fotograficznym St. Karpenstein z Dąbrowy Górniczej. Jak było naprawdę, nikt jeszcze do tej pory tego nie rozszyfrował.

Kolejne skierniewickie zakłady fotograficzne związane są z nazwiskiem Snoch. Pierwszym skierniewickim fotografem o tym nazwisku był Józef Snoch, mający zakład fotograficzny na ulicy Senatorskiej. Zakład Józefa Snocha powstał kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Później wymieniani są kolejno: W. Snocha, Feliks Snoch (ulica Senatorska 4) oraz Maria Snoch (ulica Senatorska 5).

W okresie międzywojennym istniało jeszcze FOTO Laboratorium prowadzone przez Mirosława Koziarskiego (ulica Senatorska 15). Pod tym adresem po wojnie miał swój zakład fotograficzny kolejny fotograf – Ryszard Gawinek.

Najbardziej znanym i uznanym fotografem skierniewickim był jednak Daniel Przedecki. Pochodził z rodziny żydowskich fotografów. Był człowiekiem, który, jak niektórzy mówili, urodził się z aparatem fotograficznym. Jego bracia Szmul i Salomon Przedeccy mieli swoje zakłady fotograficzne w Żyrardowie, Łowiczu, Brzezinach i w kilku jeszcze innych okolicznych miastach. Mógł więc uczyć się od nich już w dzieciństwie kunsztu fotografowania oraz poznawać tajniki tego zawodu. Klientami Daniela Przedeckiego były osoby różnych narodowości zamieszkujących w tym czasie Skierniewice. Najwięcej fotografii wykonywał jednak dla społeczności żydowskiej. Poza atelier, fotografował różnego rodzaju uroczystości w mieście, właścicieli ówczesnych zakładów przemysłowych oraz

przedstawicielei drobnego rzemiosła. Po wybuchu drugiej wojny światowej i późniejszym zajęciu Skierniewic przez niemieckiego okupanta, Daniel Przedecki trafił wraz z rodziną do skierniewickiego getta. Przebywał w nim do wiosny 1941 roku, a następnie pędzony wraz z innymi przeszedł drogę do getta w Warszawie. Jak podaje „Gazeta Żydowska” (oficjalna gazeta dla wszystkich gett w Generalnym Gubernatorstwie, koncesjonowana przez Niemców i ukazująca się od lipca 1940 roku do sierpnia 1942 roku) Daniel Przedecki zmarł 24 września 1941 roku. Odnotowano wtedy w gazecie jego imię i nazwisko, datę śmierci oraz napis „były fotograf w Skierniewicach”.

Kiedy dzisiaj spacerujemy po najstarszych zaułkach Skierniewic, zapewne chodzimy tymi samymi uliczkami co dawni skierniewiczanie. Bardzo dużo zmieniło się jednak od tamtego czasu. Nie zmienił się jednak klimat tamtego miasta. Miasta kolei Warszawsko – Wiedeńskiej o pięknej historii, często nieznanej jednak powszechnie najmłodszemu pokoleniu.

Czas płynie a wraz z nim zmieniają się ludzie oraz oblicze miasta. Nie zmienia się tylko stara fotografia. Fotografia, jakże często zapomniana, leżąca gdzieś w zakurzonej szufladzie, starej kopercie lub w najlepszym przypadku w starym albumie fotograficznym. I wystarczy otworzyć taki zapomniany album i spojrzeć na osoby sfotografowane często nawet sto lat temu... I zastanowić się, kim te osoby były? Co robiły? Gdzie mieszkały? A są to przecież często nasi pradziadkowie, prababcie, babcie, dziadkowie, ciocie, wujkowie czy nasi rodzice... Czyniąc to, nie zapominajmy o fotografach, którzy zdjęcia te zrobili.

Oni przecież także zasługują na naszą pamięć.





LADY ZE SKIERNIEWIC

Prawie sto lat temu w 1913 roku skierniewicki fotograf Lipman Karp sfotografował w swoim atelier piękną kobietę. Fotografia wykonana w kształcie pocztówki posiadała suchy tłok w dolnym prawym rogu z nazwiskiem fotografa i miasta, w którym została zrobiona. Minęło wiele lat... W jednym z antykwariatów w Jerozolimie fotografię Lipmana Karpa kupiła studentka Yael Ben. Kobietę na fotografii nazwała Lady ze Skierniewic i postanowiła odszukać w Izraelu rodzinę skierniewickiego fotografa. Niestety, jak dotychczas bez skutku. Historia ta zainspirowała również i mnie do poszukiwań... Kiedy patrzę na fotografię „Lady ze Skierniewic”, sfotografowana kobieta ze sznurem czarnych pereł na szyi coraz bardziej również i mnie urzeka. Aż ciśnie się na usta pytanie: „Kim była osoba na fotografii?”. „Czy może była nią żona fotografa lub osoba z najbliższej jego rodziny?”. Jak na razie nie ma tu jednoznacznej odpowiedzi... Minęło prawie sto lat, można powiedzieć – szmat czasu, a fotografia ta nadal kryje swoją tajemnicę. Na pewno dziewczyna na fotografii pochodziła ze Skierniewic i była narodowości żydowskiej. W jaki sposób fotografia trafiła później do Izraela – nie wiadomo. Kto ją przywiózł i dlaczego później znalazła się w antykwariacie, także pozostaje zagadką.



Postanowiłem, idąc tropem Yael Ben, poszukać danych o Lipmanie Karp i jego rodzinie w Instytucie Yad Vashem. Poszukiwania te okazały się strzałem w przysłowiową dziesiątkę. Pomalu odkrywałem nieznanne dotychczas fakty z życia rodzinnego fotografa ze Skierniewic.

Z danych Instytutu wynika, że Lipman Karp miał żonę Brakhę Karp oraz cztery córki. Najstarsza, Szewa Karp, urodziła się w 1906 roku w Skierniewicach i podobnie jak ojciec była z zawodu fotografem. Po ukończeniu szkoły swój czas dzieliła między Skierniewice a Łódź, gdzie założyła rodzinę. Lipman Karp miał swój zakład fotograficzny przy ulicy Senatorskiej w domu W. Bindra, naprzeciwko kościoła. Do Szewy Karp należał prawdopodobnie drugi zakład fotograficzny o nazwie Fotografia Artystyczna S. Karpenstein, który mieścił się przy ulicy Senatorskiej 33. Druga z córek Khana Karp także urodziła się w Skierniewicach ale dwa lata później, w 1910 roku. Także była z zawodu fotografem, a swoje późniejsze zawodowe życie związała ze Skierniewicami. Zapewne pomagała w rodzinnym zakładzie fotograficznym ojca i siostry, gdzie pod ich czujnym okiem podpatrywała tajniki fotografii oraz nieprzerwanie uczyła się zawodu. Jak nietrudno odgadnąć, trzecia z córek urodzona w 1912 roku (także w Skierniewicach), Batsheva Karp poszła w ślady ojca i swoich starszych sióstr. Późniejszą pracę dzieliła między Skierniewice a Warszawę, gdzie studiowała. Niezwykle ważną postacią okazuje się jednak czwarta z córek Lipmana i Brakhy Karp – Varda Karp, później Varda Gilboa. To ona w 1999 roku podała do Instytutu Yad Vashem dane swoich sióstr, które zginęły w czasach Holocaustu. Zamieściła także ich fotografie i aktualny, wtedy jeszcze swój adres i numer telefonu.

W tym momencie ślad się urywa. Nie wiemy czy Varda Gilboa jeszcze żyje, czy ma rodzinę i jak potoczyły się jej dalsze losy oraz wcześniejsze losy jej rodziców.

Gdyby żyła, miałyby dzisiaj przeszło dziewięćdziesiąt lat. Tylko trochę mniej od „Lady ze Skierniewic”.



Po dokładnym przestudiowaniu danych o rodzinie Karp znajdujących się w Instytucie Yad Vashem można postawić tezę, że najstarsza z sióstr wraz z rodziną zginęła w getcie łódzkim, a dwie pozostałe jej siostry po zlikwidowaniu getta skierniewickiego trafiły do getta w Warszawie i stąd zostały wywiezione do jednego z obozów koncentracyjnych. Nie znamy także dalszych losów Lipmana Karp i jego żony Brakhy. Nie ma ich danych jako ofiar Holocaustu. Nie znaczy to jednak, że przeżyli, choć może być to prawdopodobne. Tak naprawdę tylko jedno jest pewne. Pewne jest że przeżyła Varda Karp, później Varda Gilboa i mieszkała w Izraelu w Tel Awiwie, jeszcze w 1999 roku.



Ciekawe czy utrzymywała kontakty ze znajomymi z rodzinnych Skierniewic lub z innymi osobami z kraju? Czy ktoś ją jeszcze w Skierniewicach pamięta, mimo upływu tylu lat?

Często okazuję się, że świat, który nas otacza przynosi coraz to większe i mniejsze niespodzianki.

W dobie Internetu poszukiwania osób stają się coraz szybsze i bardziej skuteczne. Może podobnie będzie i tym razem.

Świat „Lady ze Skierniewic” od dawna czeka na poznanie wszystkich jego tajemnic. I choć pozostał już tylko na starych fotografiach, nadal intryguje i zastanawia. Jest jak bajka opowiadana dziecku na dobranoc, gdzie stare fotografie to historie z różnych miast i miasteczek – począwszy od Warszawy Krakowa czy Skierniewic a skończywszy na dalekim Tel Awiwie, Nowym Jorku czy w Jerozolimie.

Fotografia „Lady ze Skierniewic” Lipman Karp 1913 rok (ze zbiorów Yael Ben)

Fotografia Khana Karp (ze zbiorów Yad Vashem)

Fotografia Batsheva Karp (ze zbiorów Yad Vashem)

FOTOGRAFISTA LIPMAN KARP

Śladami Lady ze Skierniewic

Mało kto dzisiaj pamięta, gdzie przed wojną w Skierniewicach była ulica Pamięcka. Ulica ta, podobnie jak wiele innych, dawno zmieniła już swoją nazwę – podobnie jak Barania vel Barańska, Małe Glinki, Piotrkowska, Rybna czy Podzamkowa.

Na Pamięckiej 1, obecnie Mszczonowskiej, mieszkał najstarszy fotograf w mieście, który nazywał się Lipman Karp. Tu urodził się i tu zmarł.

Historia jego rodziny jest tak naprawdę historią zakładów fotograficznych, które miał w Skierniewicach, Rawie Mazowieckiej oraz w Białej. Żoną Lipmana Karpa była Brucha z Fersztenbergów. Podobnie jak jej mąż, urodziła się w Skierniewicach. Nie wiadomo kim była z zawodu. Musiała być jednak dobrą matką i żoną, skoro urodziła Lipmanowi dziewięcioro dzieci. Nie dane mu jednak było mieć syna. Wszystkie to dziewczynki, z których większość już w wieku dojrzałym były fotografistkami i pomagały tacie w pracy w atelier fotograficznym. Kilka córek związało się później z Warszawą i Łodzią, gdzie prowadziły bądź były zatrudnione w zakładach fotograficznych. Jedna na pewno prowadziła po śmierci ojca zakład fotograficzny w Skierniewicach. Dwie dziewczynki zmarły, mając niespełna rok. Była to Chindy Łaja Karp urodzona w listopadzie 1893 roku (zmarła 17 kwietnia 1894 roku) oraz Sura Karp urodzona w lipcu 1911 roku (zmarła 29 lipca 1912 roku).

Pozostałe córki to:

1. Bajla Rywka Karp urodzona 15 stycznia 1895 roku z zawodu fotografistka. Mając 27 lat, dziewiątego września 1922 roku wyszła za mąż w Skierniewicach za Moszka Fogla.
2. Estera Karp, urodzona 17 grudnia 1897 roku.
3. Perla Karp, urodzona 5 marca 1900, z zawodu fotografistka. Mając 26 lat wyszła za mąż w Skierniewicach 15 kwietnia 1926 roku za Szmula Abramowicza – fotografa, artystę malarza, mającego w dniu ślubu 36 lat.

4. Chana Karp, urodzona 16 marca 1902 roku, zawodu fotografistka.
5. Szejwa Karp, urodzona 14 marca 1904 roku, z zawodu fotografistka.
6. Sura Karp, urodzona 19 sierpnia 1906 roku, z zawodu fotografistka.
7. Rojza Karp urodzona 15 kwietnia 1910 roku.

Kiedy kilka miesięcy temu opublikowałem artykuł, pt.: „Lady ze Skierniewic”, podałem zgodnie za Yad Vashem, imiona córek w wersji angielskojęzycznej. Teraz wiem, że Khana Karp to Chana Karp, Szewa Karp to Szejwa Karp a Varda Gilboa (z domu Karp) to Rojza Karp.

Historia życia Rojzy Karp zafascynowała nie tylko mnie i stała się tematem dalszych poszukiwań. Wspólnie z Yael Ben, studentką z Izraela cały czas szukamy rodziny Rojzy Karp (Vardy Gilboa) w tym kraju. Udało się już nam odnaleźć adres w Tel Awiwie, pod którym Varda Gilboa mieszkała – jeszcze w 1999 roku. Udało się także odnaleźć jej numer telefonu. Niestety telefon dzisiaj milczy, a Varda Gilboa najprawdopodobniej już nie żyje. Gdyby żyła miałaby dzisiaj przeszło sto lat. Kim była z zawodu, mieszkając w Tel Awiwie w jednej z najdroższych dzielnic miasta? Czy miała rodzinę? Czy umarła w samotności?

Podobnych pytań jest wiele, ale niestety kolejne z nich, tak jak i poprzednie, o Roję Karp pozostają jak dotychczas bez odpowiedzi. Nie znaczy to wcale, że tak będzie zawsze i Rojza Karp umierając w dalekim kraju, zabrała wszystkie rodzinne tajemnice do grobu.

Lipman Karp (syn Fiszla i Łaji) zmarł w Skierniewicach 27 marca 1924 roku, mając niespełna 53 lata. Świadcami ujętymi w akcie zgonu byli Mordka Fersztenberg z zawodu stolarz oraz Abram Altschuler, kamasznik ze Skierniewic. Próżno jednak dzisiaj szukać grobu Lipmana Karpa na skierniewickim cmentarzu. Grób fotografa, podobnie jak wiele innych, został zniszczony podczas drugiej wojny światowej. Tak więc po Lipmanie Karp ze Skierniewic pozostały tylko fotografie, które wykonywał w swoich atelier. Ile takich fotografii jest jeszcze w albumach rodzinnych skierniewiczian – trudno określić. Każda taka fotografia jest jednak świadectwem jego pracy i obecności wśród skierniewickiej społeczności.

Bardzo często pozostają po naszych przodkach tylko małe tekturki z fotograficznych atelier. Często tak naprawdę nie wiadomo gdzie są ich groby a nasza wiedza o ich życiu jest zwykle znikoma.

Tak więc wszystko co pozostaje po człowieku, to tylko ta stara fotografia...

Jakby jej nie było, nie byłoby nic poza – czasem tylko – ulotnym wspomnieniem kogoś starszego z bliższej lub dalszej rodziny.

Po Lipmanie Karp pozostało, jak sądzę, jednak znacznie więcej. Oczywiście pozostały liczne fotografie z jego atelier, ale także – gdzieś w dalekim Tel Awiwie, a może w Jerozolimie czy w innym mieście jego rodzina...

Chciałbym bardzo rodzinę tę odnaleźć. Gdziekolwiek jest...

I pokazać miejsca, gdzie kiedyś ich przodek mieszkał i fotografował.



Na ławeczce Lipman Karp, początek lat 20-tych

ZAPOMNIANA ESTERA KARP - MALARKA ZE SKIERNIEWIC

Urodziła się 17 grudnia 1897 roku w Skierniewicach. Jej ojcem był Lipman Karp, tutejszy fotograf a matką Brucha z Fersztenbergów. Jej obrazy i rysunki sprzedawane są dzisiaj na wielu aukcjach w Europie i na świecie. Osiągają często zawrotne ceny.

Ciekawe, czy ktoś dzisiaj w Skierniewicach jeszcze o niej pamięta...

Jak podają niektórzy, urodziła się w rodzinie skierniewickich muzyków i była jedną z siedmiu córek państwa Karp. Informację tę można spokojnie zdementować o tyle, że urodziła się w rodzinie skierniewickich fotografów i fakt, że jej ojciec grał na skrzypcach i malował może być tylko interesującym uzupełnieniem pracy zawodowej skierniewickiego fotografa. Po ukończeniu szkoły w Skierniewicach, w wieku 18 lat, podjęła studia w Akademii Sztuk Pięknych Wiedniu. Studiowała malarstwo. Podróż ze Skierniewic do Wiednia i z powrotem odbywała zazwyczaj koleją, tak więc mogła wielokrotnie odwiedzać swoją rodzinę. Studia ukończyła na początku lat dwudziestych. Zamieszkała w Łodzi. Z tego okresu pochodzą jej ilustracje do śpiewnika Chaima Krolla, który wydany został w 1921 roku. W 1925 roku zamieszkała w Paryżu, gdzie mogła spokojnie rozwijać swój talent. A była niezwykle uzdolniona. Malowała, rysowała robiła różne szkice, a w późniejszym okresie swojego życia zaślęnęła z rysunków wykonanych kolorowymi długopisami (coloured ball pens). Jej prace powstałe z pierwszych lat po ukończeniu studiów w Wiedniu można było oglądać w wielu paryskich salonach, w tym: w Salonie Majowym, Salonie Jesiennym oraz w Salonie Niezależnych.

Mijały lata, Estera Karp nie opuszczała Paryża a jej prace były coraz częściej zauważane przez tutejszych marszandów. W Paryżu była znana jako Esther Carp i tak podpisywała swoje obrazy i rysunki (E. Carp).

W 1931 roku zorganizował specjalnie dla niej indywidualną Wystawę w Paryżu polski marszand i poeta pochodzenia żydowskiego - Leopold Zborowski.

Jak podaje Polski Serwis Naukowy Leopold Zborowski był opiekunem żydowskich malarzy imigrantów, określonych przez historyka sztuki Andre Warnoda „Ecole de Paris”. Był bywalcem kawiarni La Rotonde w dzielnicy Montaparnasse, w której spotykali się na co dzień paryscy malarze. Promował także takich artystów jak Marc Chagall, Pablo Picasso czy Paul Cezanne.

Estera Karp opuściła Paryż kilka miesięcy po zorganizowaniu dla niej Wystawy przez Leopolda Zborowskiego. Przyjechała do Polski. Nie wiadomo czy mieszkała w Skierniewicach, Łodzi, czy Warszawie. W tamtym okresie nie żył już jej ojciec Lipman Karp (zmarł 27 marca w 1924 roku), a siostry prowadziły bądź pracowały w zakładach fotograficznych.

Nie była osobą samotną, choć nigdy nie wyszła za mąż. Jej ukochany, z którym spędziła wiele lat życia, opuścił ją tuż przed drugą wojną światową i udał się do Wielkiej Brytanii.

W 1941 roku zachorowała psychicznie i znalazła się w jednym z zakładów psychiatrycznych. Podobno tylko to ją uchroniło od niechybnej śmierci w getcie lub obozie koncentracyjnym. Być może też była to jej świadoma decyzja, bowiem tylko jako pensjonariuszka psychiatrycznego zakładu zamkniętego mogła ocalić życie. Być może też choroba ta była spowodowana śmiercią jej kilku sióstr, które zginęły w czasach holokaustu a także brakiem mężczyzny, którego wcześniej darzyła bardzo wielkim uczuciem.

Przeżyła, choć okres wojny nie był dla niej łatwy. Powróciła do Paryża. Jej nowa pracownia mieściła się przy boulevard Saint Germain. Malowała i rysowała. Szczególnie dużo prac z tego okresu, to rysunki długopisem. Niestety choroba (paranoja) zaczęła coraz częściej przypominać o sobie. W czerwcu 1964 roku trafiła do szpitala w St. Moritz oraz Sainte Anne w Paryżu, gdzie mieszkała aż do śmierci – 11 czerwca 1970 roku. Przez ostatnie sześć lat swojego życia rysowała kolorowymi długopisami, a jej rysunki z tego okresu były sprzedawane na różnych aukcjach w Europie. Kiedy zmarła okazało się, że w jej pokoju było jeszcze mnóstwo rysunków, których wcześniej nie pokazywała nikomu. Często

przedstawiały one zamknięty świat osób przebywających, podobnie jak ona, w szpitalu.

Estera Karp była siostrą Rojzy Karp, o której napisałem już wcześniej w „Śladami Lady ze Skierniewic”. Tak więc moje poszukiwania rodziny Lipmana Karpa odkrywają kolejną tajemnicę rodziny skierniewickiego fotografa.

Zastanawiam się, ile jeszcze takich tajemnic odkryję, zanim uda mi się odnaleźć potomków skierniewickiego fotografa...

Powracając do Esther Carp, to kilka lat temu znany polski dom aukcyjny sprzedawał jedną z prac skierniewickiej malarki. Obraz został sprzedany. Nie wiemy nawet, kto go kupił i gdzie dzisiaj praca ta się znajduje. Tak naprawdę to Esther Carp została w Polsce zupełnie zapomniana i tylko, jak sądzę, zagraniczni koneserzy i kolekcjonerzy kupują jej obrazy i rysunki.

Być może też ktoś w Skierniewicach posiada w spadku po rodzicach czy dziadkach jakieś obrazy, na których w prawym dolnym a czasem w lewym rogu widnieje podpis E. Carp ? Może to być obraz, akwarela bądź rysunek.

Okazałoby się wtedy, że posiada prawdziwy skarb, o którym nawet nic nie wie.

Prace Esther Carp często przedstawiają świat małych społeczności, w różnych codziennych sytuacjach. Można na nich zobaczyć świat dawnych zabaw i spotkań, który dla wielu pozostał już tylko wspomnieniem.

Tak samo jak pamięć o Esterze Karp, zapomnianej malarce ze Skierniewic...

DAWNI FOTOGRAFOWIE ŁOWICZA

Kiedy oglądamy stare rodzinne fotografie, nie zawsze pamiętamy kogo przedstawiają. Zazwyczaj im starsza fotografia, tym trudniej przychodzi nam ją opisać i odpowiedzieć na proste skądinąd pytanie: kto to jest? Czy to jest nasza prababcia, czy to jest nasz pradziadek a może ich bliższa lub dalsza rodzina? Podobnych pytań mogą być setki lub tysiące. Pamięć ludzka jest szalenie ulotna. Zdarzenia nie opisane znikają wraz z ostatnimi świadkami ich zaistnienia. A ludzie umierają i nikt często o nich później nie pamięta...

Jedną z niewielu rzeczy, jaką później pozostawiają po sobie, jest stara fotografia. mała tekturka z wizerunkiem osoby zapisanym w ułamku sekundy przez fotografa. Zawsze intrygowała mnie jej historia. Historia fotografii i osoby na niej uwiecznionej. I stale nurtowała mnie odpowiedź na pytanie: czy fotografia, podobnie jak osoba na niej przedstawiona, tak samo umiera i odchodzi w zapomnienie?

Historia fotografii miast i miasteczek między Warszawą a Łodzią jest jak dotąd historią mało opisaną. Nie znaczy to jednak, że jest to historia nieciekawa. Wręcz przeciwnie. Historia to pasjonująca, tak jak wszystko, co intryguje i zachęca do poszukiwań.

O starych zakładach fotograficznych Łowicza literatura naprawdę nie wiele mówi. Nieliczne pozycje książkowe oraz artykuły prasowe w sposób bardzo lakoniczny wymieniają łowickich fotografów. Jedną z nich jest „Spis polskich fotografów i firm fotograficznych działających w latach 1839-1914”, autorstwa Jadwigi Ilnatowicz i Andrzeja Piotrowskiego, wydany nakładem Andrzeja Piotrowskiego w 1996 roku. W powyższym „Spisie” wymienieni zostali następujący fotografowie łowiccy: STANISŁAW KARPIŃSKI posiadający zakłady fotograficzne w Kutnie Łęczycy i Łowiczu; SAMUEL KRYSZTAŁ posiadający zakład w Łowiczu; BRACIA PRZEDECCY posiadający zakłady fotograficzne w Brzezinach, Grodzisku, Łowiczu, Rawie, Skierniewicach,, Tomaszowie i Żyrardowie; DANIEL PRZEDECKI posiadający zakłady fotograficzne w Brzezinach, Rawie, Skierniewicach,

i Żyrardowie; SAMUEL PRZEDECKI, posiadający zakład fotograficzny w Grodzisku, Łowiczu i Żyrardowie; WACŁAW WESOŁOWSKI posiadający zakłady fotograficzne w Łowiczu i Łęczycy oraz WESOŁOWSKI BRONISŁAW posiadający zakłady fotograficzne w Łowiczu i Zduńskiej Woli.



Najstarszym łowickim zakładem fotograficznym było atelier Samuela Kryształ. Jak podaje Romuald Oczykowski, autor książki „Przechadzka po Łowiczu”, wydanej w 1883 roku (strona 32) *na ulicy Zduńskiej pod numerem 32 mieszkał Kryształ, który z amatorstwa zbierał widoki z miast i okolicy. To wszystko i aż tyle... Nieznana jest dokładna data powstania jego zakładu fotograficznego. Fotografie Samuela Kryształ były naklejane na sztywne kartony z bogato zdobionymi rewersami, które drukowane były u H. Kohna w warszawskim*

zakładzie litograficznym, powstałym w 1879 roku. Spotykane są jednak na aukcjach znacznie starsze fotografie Samuela Kryształa, które na rewersie posiadają tak zwany „suchy stempel” z napisem „Zakład Fotograficzny S. Kryształ w Łowiczu”, co świadczy o założeniu zakładu jeszcze w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Kolejny zakład fotograficzny założył Stanisław Karpiński. Zakład mieścił się na Starym Rynku pod numerem 2 i istniał w latach 1896 – 1903. Stanisław Karpiński był synem Józefa Karpińskiego. Dokładnie nie wiadomo, jakie były przyczyny zamknięcia zakładu w 1903 roku.

Samuela Kryształa i Stanisława Karpińskiego wymienia także Michał Żur w opracowaniu „Fotografowie i zakłady fotograficzne Królestwa Polskiego i Litwy („Imperium Rosyjskie do 1918 roku”)), które ukazało się na Ukrainie. Pisząc o Samuelem Kryształ, podaje, że jest on synem Zelika Kryształa. Kim jednak z zawodu był Zelik Kryształ – nie wiadomo. Fotografie wykonywane w zakładzie fotograficznym Stanisława Karpińskiego były naklejane na tekturki z warszawskiego zakładu litograficznego M. Ellenband.

Wielce zasłużonymi fotografami dla Łowicza byli bracia Waław i Bronisław Wesołowscy.

Waław Mateusz Wesołowski, syn Kazimierza Wesołowskiego i Pauliny z Dobrowolskich, urodził się w Piotrkowie w 1872 roku. Do Łowicza przybył najprawdopodobniej w latach 1906-1907. Swój zakład fotograficzny uruchomił na Starym Rynku 2, czyli w tym samym miejscu, gdzie wcześniej istniał zakład fotograficzny Stanisława Karpińskiego. Jak podaje potomek rodu Wesołowskich – Mariusz Wesołowski – Waław Wesołowski był spokrewniony ze Stanisławem Karpińskim. Uruchamiając swój zakład kupił zapewne od swojego wuja sprzęt niezbędny do wykonywania zawodu. Zakład Waława Wesołowskiego powstał w 1907 roku i nosił na początku nazwę „Pracownia portretów i skład listew”, Stary Rynek 2.

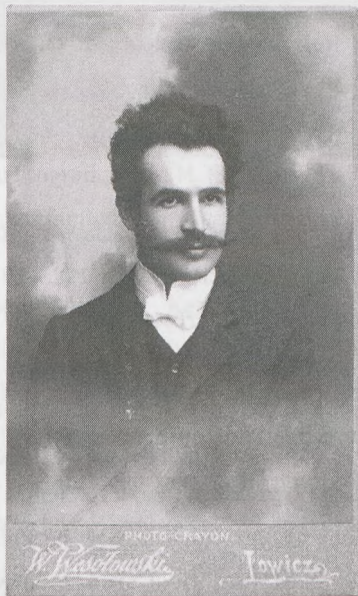


Jeszcze przed pierwszą wojną światową Waław Wesołowski uruchomił swój zakład fotograficzny w Żyrardowie a w latach 1915-1916 ponownie prowadził swój zakład w Częstochowie pod adresem aleja II 29 (Dom Heniga). Wysoki poziom techniczny i artystyczny fotografii Waława Wesołowskiego został nagrodzony złotym medalem na wystawie fotografii w 1909 roku w Częstochowie. Waław Wesołowski pojął za żonę Różę z Pstruszeńskich, córkę Wiktora Pstruszeńskiego (dyrektora Banku Ziemi Łowickiej) i Antoniny z Matuszewiczów urodzoną w Bystrojuwiczach 11 sierpnia 1884 roku. Jak podaje Mariusz Wesołowski, 14 maja 1907 roku urodził się w Łowiczu ich syn Jerzy Tadeusz Wesołowski (absolwent Gimnazjum Państwowego im. Księcia Józefa Poniatowskiego oraz Politechniki Warszawskiej). Jerzy Tadeusz Wesołowski ożenił się z Haliną de domo Boretti, potomkinią innego rodu znanego z historii polskiej fotografii. Z rodu tego wywodzą się znani i cenieni fotografowie: Teofil Boretti, uczeń Karola Beyera, Wincenty Boretti, bratanek Teofila, znany fotograf

z Kalisza oraz Teofil Eugeniusz Boretti, ojciec Haliny, żony Jerzego Tadeusza Wesołowskiego – mylony często ze swoim stryjem Teofilem Boretti.

Wacław Wesołowski zmarł w Łowiczu w dniu 4 listopada 1924 roku.

Bronisław Wesołowski, brat Wacława Wesołowskiego urodził się 4 marca 1882 roku w Poniatowie. Po otrzymaniu stosownego zezwolenia w 1908 roku założył swój zakład fotograficzny w Łowiczu, pod adresem Stary Rynek. Nie wiadomo dokładnie, pod którym numerem mieścił się jego zakład fotograficzny. Wielce prawdopodobne jest, że zakład swój prowadził wspólnie ze starszym bratem Wacławem. Nie wiadomo też, jak długo Bronisław Wesołowski prowadził swój zakład w Łowiczu. Kilkakrotnie opuszczał bowiem Łowicz i przeniósł się do Warszawy. Ostatni raz miało to miejsce w 1926 roku.



Dalsze losy Bronisława Wesołowskiego nie miały już nic wspólnego z fotografowaniem. Po ukończeniu studiów prawniczych zatrudniony został w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie, gdzie pracował do wybuchu drugiej wojny światowej, a w kilka lat po jej zakończeniu, od 1949 roku, został

pracownikiem Ministerstwa Budownictwa. Bronisław Wesołowski zmarł w Warszawie w 1956 roku i został pochowany na cmentarzu Bródnowskim.

Fotografie wykonywane przez Braci Wesołowskich naklejane były na tekturki z warszawskiego zakładu litograficznego M. Ellenband (podobnie jak fotografie Stanisława Karpińskiego).

Ważnym odnotowania faktem, jest używanie przez Wacława Wesołowskiego i jego zakład fotograficzny w Częstochowie tekturek z zakładu litograficznego z Łodzi o nazwie „Śpiewak”, Łódź ul Piotrkowska 116.

W Łowiczu posiadali także swoje zakłady fotograficzne Bracia Przedeccy, którzy pochodzili z rodziny włocławskich fotografów. Rodzina Przedeckich miała najwięcej zakładów fotograficznych między Warszawą a Łodzią. Kolejno Daniel, Salomon i Szmul Przedeccy otwierali swoje zakłady fotograficzne w poszczególnych miastach na początku dziewiętnastego wieku. Tak też było i w Łowiczu. Podobnie jak Wacław Wesołowski byli również uhonorowani medalem na wystawie fotograficznej. Miało to miejsce w Besarabii przed pierwszą wojną światową, gdzie otrzymali srebrny medal. O fakcie tym powiadamiali później każdego swojego klienta umieszczając na rewersie fotografii, kopii otrzymanego medalu. Tekturki z litografią ich zakładu fotograficznego były drukowane w zakładzie Kuhle-Miksche-Turk w Warszawie powstałym w 1899 roku. Dokładnie, w którym miejscu znajdowały się ich zakłady fotograficzne, nie wiadomo. Zapewne, podobnie jak w przypadku innych miast, znajdowały się w pobliżu kościołów i na reprezentacyjnych ulicach miasta.

W okresie międzywojennym istniały jeszcze w Łowiczu następujące zakłady fotograficzne: B. DEGENSCHEIN, L. HIRSZBERG (Stary Rynek 15), J.DIEHL, FOTOGRAFIA ARTYSTYCZNA „SZTUKA” (ul. Zduńska 5), FOTO-FILM (ul. Piłsudskiego), ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY W. STASIŃSKI oraz LEONARD TETZLAFF (Foto Laboratorium ulica Zduńska).

Fotografowie łowiccy wykonywali fotografie nie tylko w atelier. Dokumentowali również różnego rodzaju uroczystości w mieście oraz w fabrykach, zakładach rzemieślniczych, stowarzyszeniach, szkołach, itp. Część z nich, w tym

(w szczególności) Samuel Kryształ, Stanisław Karpiński oraz Waclaw i Bronisław Wesołowsky fotografowali poszczególne obiekty cywilne, religijne i przemysłowe, które później były tematem wiodącym na wydawanych pocztówkach przedstawiających Łowicz na początku dwudziestego wieku.

Wspomina o tym m.in. Edward Miziołek w artykule „Łowickie pocztówki krajoznawcze”, zamieszczonym w „Wędrowniku” z 28.02.2008 roku.

Jedną z nielicznych publikacji poświęconej fotografii łowickiej jest artykuł Waleriana Warchałowskiego, pt.: „Zbiory fotografii Muzeum w Łowiczu” zamieszczony w Periodyku „Dagerotyp”, nr 11 z 2002 roku. Autor opisuje w nim zbiory fotografii w posiadaniu Muzeum w Łowiczu, wspominając tylko niektórych z fotografów łowickich. Najwięcej miejsca poświęca Władysławowi Tarczyńskiemu, miłośnikowi historii, kolekcjonerowi i wielkiemu społecznikowi, który w 1905 roku utworzył i zarejestrował „Zbiory Starożytności z poł. XIX i XX wieku i pamiątek Historycznych w Łowiczu”. Na szczególną uwagę zasługuje także książka Jacka Rutkowskiego, pt.: „Łowicz Kronika Fotograficzna w XX wieku” wydana nakładem Urzędu Miejskiego w Łowiczu w 2006 roku.

Historia łowickich fotografów i ich zakładów fotograficznych zasługuje na przypomnienie i dalsze jej opisanie. Jest lustrzanym odbiciem losów poszczególnych fotografii, z których jedne znajdują się w albumach rodzinnych, a inne leżą porzucone w antykwariatach. A przecież kiedyś i jedne, i drugie tak samo przynosiły radość i zadowolenie. Były trzymane na sercu i często ich wartość była większa „od pieniędzy”. Można zadać pytanie: czy coś zmieniło się od tamtego czasu? Odpowiedź jest szalenie prosta. Oczywiście, bardzo dużo się zmieniło, tylko stara fotografia pozostała taka sama. Nadal nas urzeka i skłania do refleksji nad przeszłością.

Bardzo dziękuję panu Mariuszowi Wesołowskiemu, potomkowi Rodziny Wesołowskich za przybliżenie mi historii jego rodziny, która tak bardzo zasłużyła się dla starej łowickiej fotografii

ŻYRARDOWSCY FOTOGRAFOWIE

Część pierwsza

Z biegiem lat coraz częściej powracamy do czasów naszego dzieciństwa. Staramy się szukać dawnych przyjaciół, opisywać stare fotografie oraz szukać rodzinnych korzeni. Dla wielu z nas powrót do starej fotografii staje się najlepszym przewodnikiem po miejscach dawno przez nas nie odwiedzanych, a nawet zapomnianych przez lata.

Wszystko to pozwala z czasem narodzić się naszej nowej pasji, która z biegiem lat staje się coraz bardziej intrygująca. Myślę, że równie pasjonującym zajęciem jest szukanie informacji o starych zakładach fotograficznych Zachodniego Mazowsza.

Jednym z miast tego regionu jest Żyrardów i właśnie o fotografach z tego miasta chciałbym opowiedzieć.

Historia Żyrardowa najlepiej pokazuje czasy świetności i czasy upadku miast polskich. Kiedy mówimy „Żyrardów”, nie sposób nie wspomnieć o Philipie de Girard, od którego miasto przyjęło swoją nazwę. Nie on jednak głównie przyczynił się do późniejszej świetności Żyrardowa. Osobami, którym Żyrardów zawdzięczał swoją pozycję i rozkwit w drugiej połowie dziewiętnastego wieku byli przemysłowcy i właściciele zakładów lnianych Karol August Dittrich oraz Karol Hielle.

Historia żyrardowskich zakładów fotograficznych łączy się z historią miasta. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku, mimo znanej już wtedy powszechnie techniki fotografowania, nie było jednak w Żyrardowie żadnego stacjonarnego zakładu fotograficznego. Zapewne, podobnie jak Skierniewice czy Sochaczew, Żyrardów był odwiedzany przez „fotografów wędrownych”, którzy jako pierwsi wykonywali zawód fotografa w tym regionie. Niestety nie zachowały się po nich żadne dokumenty.

Faktem ważnym do odnotowania, jest zaproszenie do Żyrardowa przez Karola Dittricha jednego z najbardziej znanych fotografów francuskich J. Davida, który posiadał swój zakład fotograficzny w Paryżu pod adresem 90 Rue de Coureelles

Levallois-Paris. Przybywając do Żyrardowa, J. David wykonał setki fotografii zakładów lnianskich, dokumentując poszczególne oddziały produkcyjne, budynki fabryki i osiedla fabrycznego a także ludzi, którzy wtedy pracowali w fabryce. Fotografie J. Davida posłużyły później do wydania czterech albumów, będących najlepszym sposobem promocji miasta i fabryki w Europie i Imperium Rosyjskim. Trzy pierwsze albumy przedstawiały oddziały produkcyjne, tj.: przędzalnię, bielnik i farbiarnię oraz pończoszarnię. Czwarty z albumów, najbardziej reprezentacyjny, był albumem Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Żyrardowskich Hiellego i Dittricha i zawierał głównie fotografie miasta oraz jego mieszkańców, a także fabryki widzianej od zewnątrz.

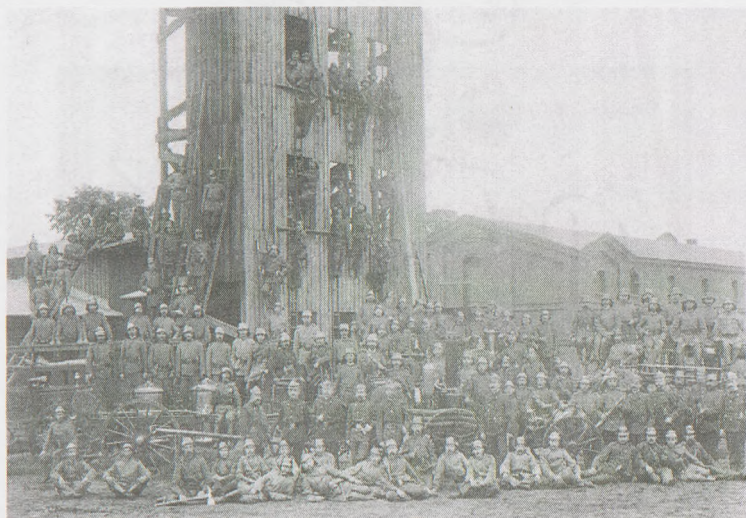
A miasto w tym czasie rozwijało się bardzo dynamicznie. Stawało się jednak w coraz większym stopniu miastem wielonarodowościowym. Mieszkali tu i pracowali Niemcy, Austriacy, Czesi, Rosjanie a nawet Szkoci. Z biegiem lat stale powiększała się odsetek ludności żydowskiej, która na początku dwudziestego wieku stanowiła już blisko dziesięć procent mieszkańców.

Przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku to także początek osiedlania się w Żyrardowie pierwszych zawodowych fotografów i powstawania ich zakładów fotograficznych. Fotografowie ci przybywali z różnych stron ówczesnego Królestwa Polskiego. Największą grupę stanowili uczniowie mistrzów fotografii z Warszawy i Łodzi czy Włocławka, ale byli również i tacy, którzy przejechali tutaj z dalekiej Rosji.

Jak podaje Jadwiga Ihnatowicz i Andrzej Piotrowski w „Spisie polskich fotografów i firm fotograficznych działających w latach 1839-1914”, jedynej na polskim rynku pozycji książkowej zawierającej spis zakładów fotograficznych na ziemiach polskich, w Żyrardowie istniały następujące zakłady fotograficzne: M. BIETKOWSKA, ALEKSANDER BRODECKI, BONIFACY FREJSCHMIDT, M. GŁOWIŃSKI, BRACIA PRZEDECCY, DANIEL PRZEDECKI, SAMUEL PRZEDECKI, oraz „TEODORA”. W porównaniu z innymi miastami Zachodniego Mazowsza, Żyrardów posiadał najwięcej zakładów fotograficznych.

W omawianym okresie istniały jeszcze dwa inne zakłady fotograficzne, o których nie wspominają Jadwiga Ilnatowicz i Andrzej Piotrowski. Pierwszy to zakład fotograficzny M. BIETKOWSKI, który działał w latach 1907-1915 a drugi – zakład fotograficzny założony przez Wacława Wesołowskiego, znanego fotografa z Łowicza i Częstochowy.

Każda wykonywana w tym czasie fotografia była naklejana na tekturkę z firmową litografią fotografa. Oprócz walorów artystycznych, każda taka winieta stanowiła wtedy najlepsze źródło informacji o poszczególnych zakładach fotograficznych. Zawierała bowiem informacje o fotografii, adresie zakładu fotograficznego oraz wskazówki dotyczące przechowywania klisz i samych fotografii.



Fotografia z albumu Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Lniarskich Hiellego i Dittricha przedstawiająca straż ogniową (ze zbiorów autora)

ŻYRARDOWSCY FOTOGRAFOWIE

Część druga

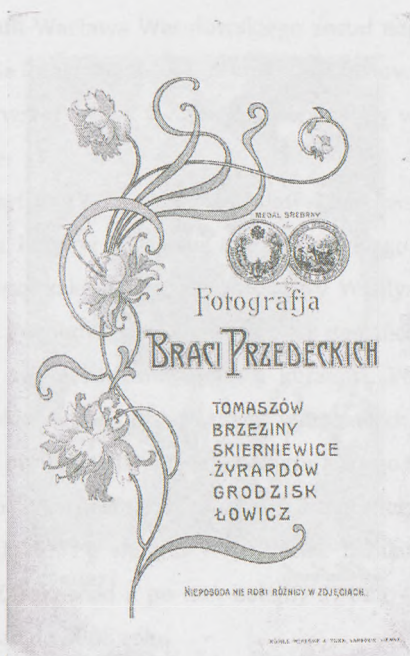
Przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku był dla żyrardowskiej fotografii okresem wyjątkowym. W tym okresie zaczęły powstawać kolejno, prawie jeden po drugim, zakłady fotograficzne w mieście. Pierwszy zakład fotograficzny otworzył Bonifacy Aleksander Frejschmidt, który nie był jednak rodowitym żyrardowianinem. Urodził się 13 maja 1860 roku w Warszawie i tutaj pobierał stosowne nauki. Po odbyciu praktyki w jednym ze znanych zakładów fotograficznych w Warszawie oraz uzyskaniu zezwolenia na prowadzenie zakładu fotograficznego przeniósł się do Żyrardowa w październiku 1895 roku.



Swój zakład otworzył najprawdopodobniej w 1896 roku, a wykonywane fotografie znakował pieczęcią Zakład Fotograficzny B. Frejschmidt.

Dopiero po kilku latach fotografie z jego zakładu były naklejane na tekturki z litografią zakładu fotograficznego (wykonywane w jednym z zakładów litograficznych w Warszawie).

Kolejny zakład fotograficzny otworzyli 5 stycznia 1905 roku Szmul i Salomon Przedechy, pochodzący z rodziny fotografów włocławskich. W niedługim czasie dołączył do nich Daniel Przedeki, mający już swój zakład w Skierniewicach. Ojcem braci Przedekich był Leizer Herszt Przedeki, pochodzący z Włocławka. Bracia Przedecy posiadali jeszcze zakłady fotograficzne w następujących miastach: Brzeziny, Grodzisk Mazowiecki, Tomaszów i Rawa Mazowiecka (w tym Samuel Przedeki posiadał zakłady w Grodzisku, Łowiczu i Żyrardowie a Daniel Przedeki w Skierniewicach, Rawie, Żyrardowie i Brzezinach).



Szalenie trudno jest dzisiaj rozgraniczyć, które zakłady firmował tylko jeden z braci, a które były zakładami wspólnymi. Różne też są litografie z poszczególnych zakładów.

12 listopada 1905 roku powstał następny zakład fotograficzny o nazwie „Teodora”, który miał swoją siedzibę na ulicy Wiskitskiej 50. Właścicielem zakładu był Teodor Borówka. Zakład działał do 1914 roku. Nie wiadomo jakie były dalsze losy jego właściciela. Najprawdopodobniej po zniszczeniu miasta w czasie pierwszej wojny światowej, zakład fotograficzny uległ zniszczeniu i nie został już ponownie otwarty.

W 1907 roku powstał zakład fotograficzny M. Bietkowskiego, który podobnie jak zakład „Teodora” mieścił się na ulicy Wiskitskiej pod numerem 12 i działał do 1915 roku.



W Żyrardowie działał jeszcze zakład fotograficzny M. Bietkowskiego. O zakładzie tym wspominają J. Ichnatowicz i Andrzej Piotrowski w swoim „Spisie”. Czy zakłady fotograficzne M. Bietkowskiego i M. Bietkowska były zakładami rodzinnymi, trudno powiedzieć, choć jest to bardzo prawdopodobne. A jeżeli tak, to zakład fotograficzny M. Bietkowskiego musiał istnieć przed 1907 rokiem. Wszystko to wymaga dokładnej analizy historycznej.

Gdzie dokładnie mieściły się zakłady fotograficzne Aleksandra Brodeckiego i M. Głowińskiego – nie wiadomo. Zapewne miały swoje siedziby w centrum miasta, blisko osiedla fabrycznego, kościoła i fabryki.

Kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej otworzył swój zakład fotograficzny w Żyrardowie Wacław Wesołowski, syn Kazimierza Wesołowskiego i Pauliny z Dobrowolskich, urodzony w Piotrkowie w 1872 roku. Wacław Wesołowski prowadził w tym czasie swój zakład fotograficzny w Łowiczu pod nazwą „Pracownia portretów i skład listów”. W niedługim czasie otworzył też swój zakład w Częstochowie pod adresem Aleja II 29. Wysoki poziom techniczny i artystyczny fotografii Wacława Wesołowskiego został nagrodzony stosownym medalem na wystawie fotografii w 1909 roku w Częstochowie.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej powstawały w Żyrardowie kolejne zakłady fotograficzne.

Jeden z nich otworzył w 1923 roku Władysław Zarakowski. Również i on nie pochodził Żyrardowa. Przybył tutaj wraz z żoną z dalekiego Irkucka z Rosji, gdzie posiadał swój pierwszy zakład fotograficzny. Losy Władysława Zarakowskiego są szalenie ciekawe. Pochodził z rodziny polskich zesłańców, którzy niezwykle mocno kultywowali swoje rodzinne polskie korzenie. Po wybuchu rewolucji październikowej i późniejszych przemianach ustrojowych w Rosji, nie widząc możliwości dalszego prowadzenia zakładu fotograficznego w Irkucku, przyjechał do Polski i trafił do Żyrardowa. Swoją zakład fotograficzny prowadził na tak zwanym „przechodniaku”. Po śmierci Władysława Zarakowskiego jego zakład przejął syn Walery Zarakowski a po nim kolejny z rodu – Bogdan Zarakowski, który prowadził zakład do 2005 roku.

W okresie międzywojennym istniały jeszcze następujące zakłady fotograficzne:

- Zakład fotograficzny „Studio” należący do J. Stawskiego,
- Zakład Fotograficzny P. Brodowskiej,
- Zakład Fotograficzny Stanisława Naziębło mający swoją siedzibę na ulicy Narutowicza.

Stara fotografia zawsze przybliżała nas do czasów bardzo nam odległych. Pokazywała ludzi takimi jakimi byli oraz ich otoczenie. Można zadać pytanie: czy coś zmieniło się od tamtego czasu? Odpowiedź jest szalenie prosta:

Oczywiście, bardzo dużo się zmieniło, tylko stara fotografia pozostała taka sama...

DESER

Wspomnienia mają to do siebie... że muszą się karmić. Ileż to razy zdarzyło się, że stare albumy rodzinne wyciągaliśmy u cioci na imieninach. Szczerze mówiąc, i książki lepiej smakują, gdy coś można podgryźć w międzyczasie. Sądzę, że zdradzenie przepisu na najlepszą, bo naszą szarlotkę chodakowską autorstwa Aliny Stradeckiej, z domu Repsz, najbardziej zasmakuje naszym czytelnikom. Sam miałem przyjemność jej spróbować! Niezapomniane doznanie kulinarne! Warto wspomnieć, że sama pani **Alina Stradecka** jest autorką kilkudziesięciu książek kucharskich, między innymi: *Kalendarz kulinarny*, *Kuchnia włoska*, *Pierogi nie tylko po polsku*, *Kapusta – polska specjalność*, *Kasze – polska specjalność*, *Zupy – polska specjalność*, *Smakołyki z mleka, sera i jaj*, *Ciasta wytrawne*, *Nalewki lecznicze*, *Serniki i szarlotki*, *Ze zwykłych produktów niezwykle potrawy*, *Torty łatwe i trudne* oraz wielu innych.

A oto przepis!

Szarlotka Chodakowska

Przygotowanie: ok. 30 minut

Pieczenie: ok. 50 minut

Ciasto: 500 g mąki

100 g masła

100 g smalcu

150 g cukru pudru

Szczypta soli

1 łyżka soku z cytryny

2 żółtka

Masło do wysmarowania formy

Nadzienie: 800 g jabłek

250 g śliwek węgierek

1 kieliszek araku

Cukier

Tarta bułka

Glazura: 2 białka

1 szklanka cukru pudru

1 łyżka soku z cytryny

2 łyżki posiekanej skórki pomarańczowej smażonej w cukrze

Przygotowanie:

Ugotować jajka na twardo, ostudzić w zimnej wodzie, obrać, przekroić na połowę i wyjąć żółtka. Przetrzeć je przez plastikowe sito, dodać 3 łyżki zimnej wody z sokiem z cytryny. Smalec rozetrzeć na gładką masę. Wsypać mąkę przesianą z solą. Szybko połączyć składniki, by ciasto nie nagrzało się od rąk. Zawinąć w folię i wstawić na 1 godzinę do lodówki. Jabłka obrać, zetrzeć na tarce, zasypać cukrem i odstawić na kilka minut. Wstawić na silny ogień i gotować ok. 10 minut, aby pozostało jak najmniej płynu. Dodać umyte i wydrylowane śliwki. Dusić na wolnym ogniu, aż powstanie gładka masa. Włączyć arak i ewentualnie poprawić jeszcze cukrem. Przystudzić.

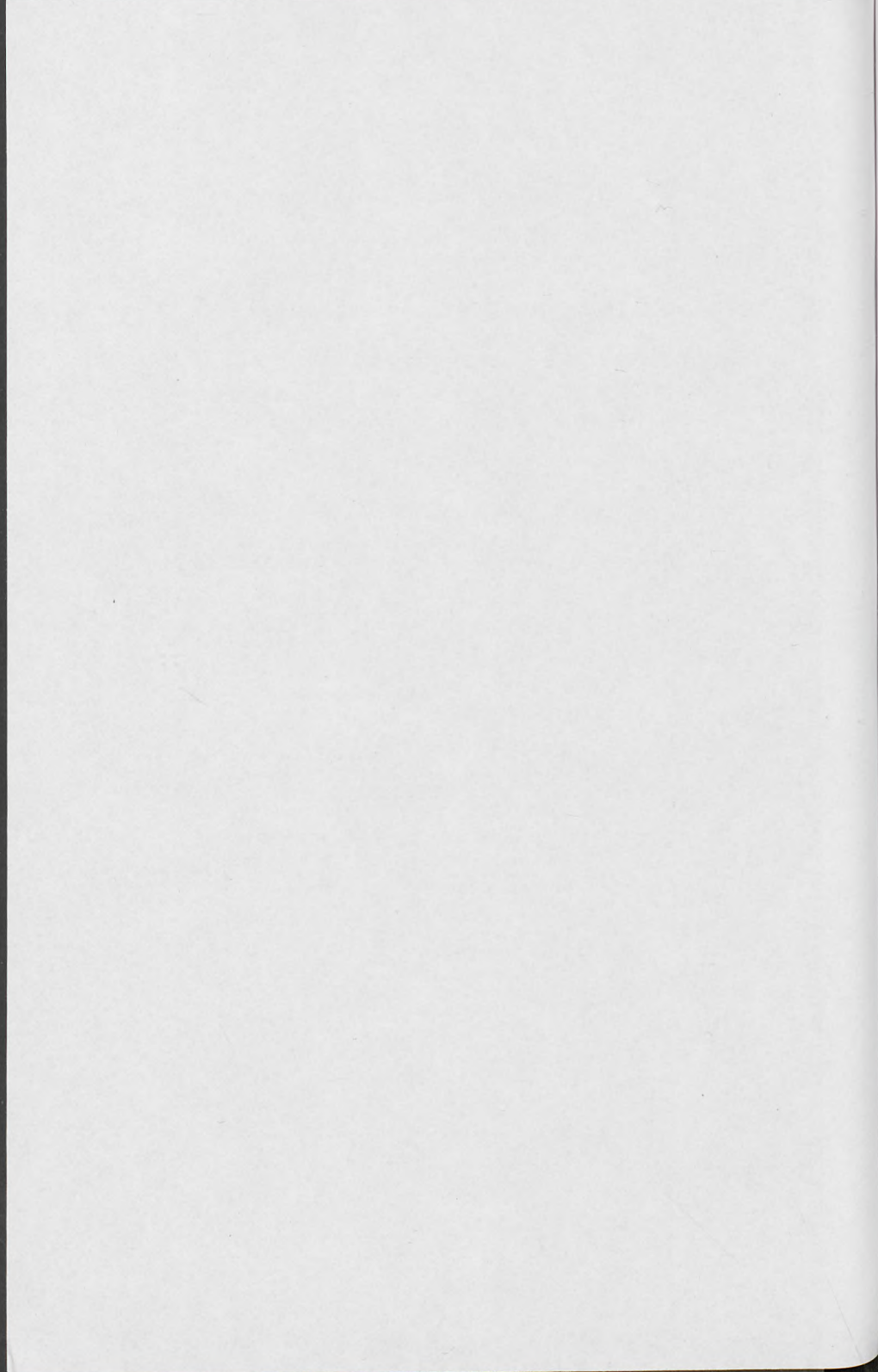
Ciasto wyjąć z lodówki i wylepić nim dno formy, tworząc dookoła 1-centymetrowy rancik. Ponakłuwać widelcem. Wstawić do piekarnika nagrzanego do 200°C, aż lekko się ozłoci. Na cieście rozłożyć przygotowaną masę jabłeczną. Resztę ciasta zetrzeć na jarzynowej tarce tak, by „zacierki” spadały bezpośrednio na jabłka. Wstawić do piekarnika na 20 minut. Gdy wierzch się zarumieni, wyjąć, przestudzić. Przyrządzić glazurę. Białka wybić do miski, wsypać cukier i ucierać, aż powstanie nieprzezroczysta gęsta masa. Włączyć wówczas sok z cytryny i posmarować glazurą wierzch i boki szarlotki. Zanim zastygnie, posypać skórką pomarańczową.

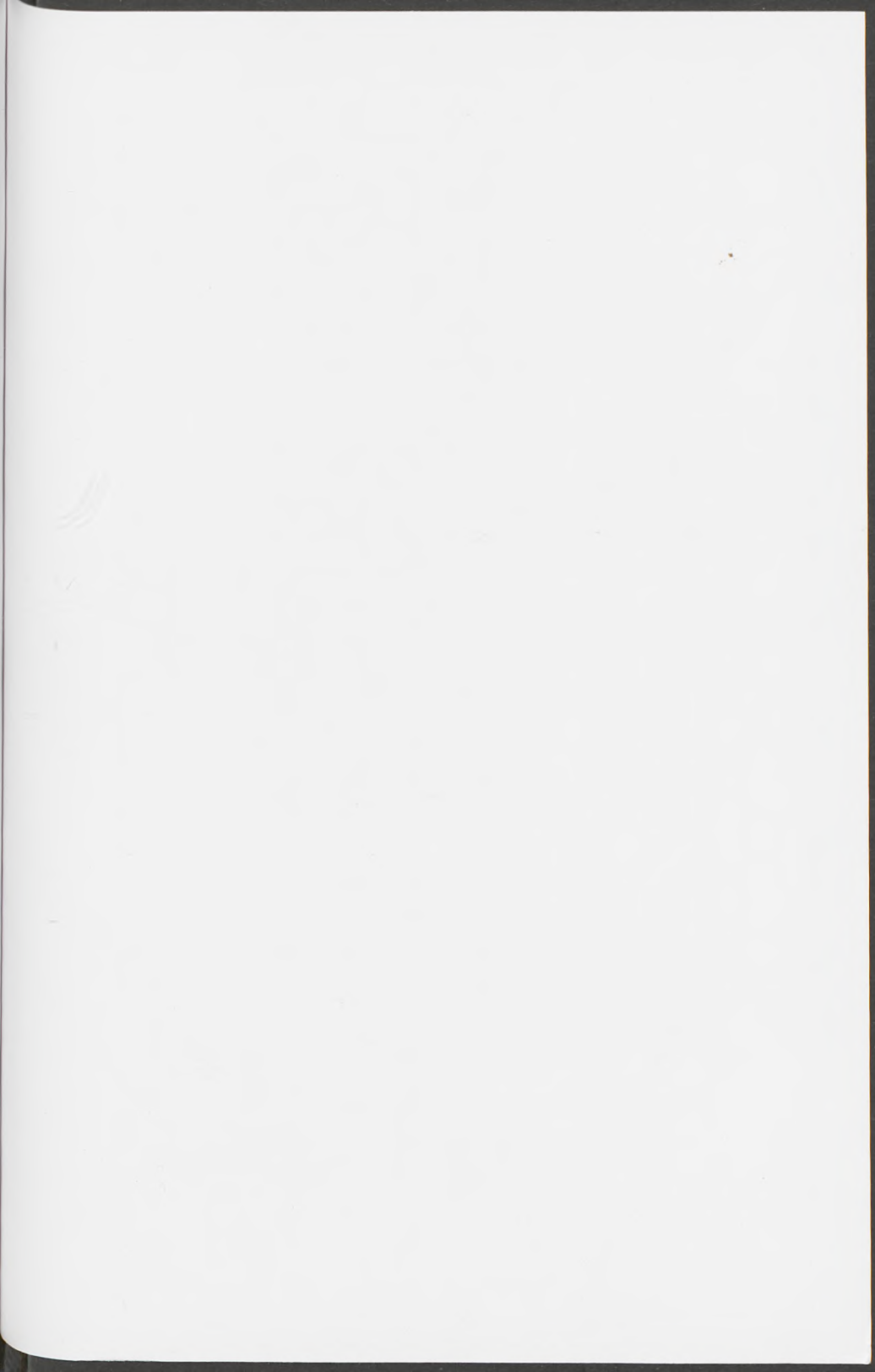
Nasze rady:

- można przykryć masę jabłeczną resztą ciasta rozwałkowaną na cienki placek
- zamiast polewać glazurą, można szarlotkę posypać cukrem pudrem
- jabłek można nie dusić, tylko zetrzeć na tarce, ostudzić, wymieszać z bułką tartą i rozłożyć na podpieczonym spodzie.

Przypisy

1. Stare roczniki „Głosu Chodakowa”
2. Barbara Osterloff, *Aleksander Zelwerowicz*, Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, 2011 rok
3. „Głos Skierniewic i Okolicy”, Nr 38, Skierniewice, 18.09.2008 r.
4. „Głos Skierniewic i Okolicy”, Nr 16, Skierniewice, 21.04.2011 r.
5. „Głos Skierniewic i Okolicy”, Nr 38, Skierniewice, 22.09.2011 r.
6. „Głos Skierniewic i Okolicy”, Nr 51/52, Skierniewice, 22/29.12.2012 r.
7. „Głos Żyrardowa i Okolicy”, Żyrardów, Nr 42, 16.10.2009 r.
8. Kwartalnik Historyczny nr 4, dodatek do „Nowy Łowiczanie”, Nr 53, Łowicz, 12.2008 r.
9. *Album Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Żyrardowskich Hiellego i Dittricha*
10. Alina Stradecka i Aleksandra Chomicz, *Serniki i szarlotki*, Świat książki, 2005 rok
11. *Narcyza*, Zofia Nałkowska, Kraków 1976, s. 291.
12. Skany plakatów z dawnego Chodakowa udostępnione przez Bogusława Kwiatkowskiego.





Często lubimy powracać do miejsc z naszego dzieciństwa.

Czasem jednak pamięć już nas zawodzi
i nie zawsze potrafimy znaleźć dokładnie to, czego szukamy.
Podróż po dawnym Chodakowie może być dla wielu z nas
niesłychanie odkrywczą i niezapomniana.

Bo Chodaków nadal jest pełen tajemnic i zagadek z przeszłości.
A dopóki żyć będą dawni jego mieszkańcy, każda fotografia z ich rodzinnego albumu
może jeszcze nie raz być na nowo opisana i opowiedziana...

I każde miejsce utrwalone okiem kamery
może kryć w sobie jeszcze nie jedną tajemnicę i zagadkę z przeszłości.
I kiedy wszystko się zmienia, pięknieje lub odchodzi w zapomnienie,
to właśnie czar starych fotografii powraca na nowo.

Odżywają wspomnienia, radości i smutki,
i pamięć o tych, których już nie ma między nami.
I dopóki będziemy o nich mówić, pisać i opowiadać,
ich dusze będą nadal obecne wśród żywych.

Bo każda osoba na fotografii żyje tak długo, jak długo ktoś jeszcze o tej osobie pamięta...



Sometimes we suffer the lack of memory and we cannot always find what we really want.
A journey over Chodakow may be for many of us an extremely revealing and unforgettable
Because Chodakow is still full of mysteries and puzzles from the past.

And till the old inhabitants of Chodakow are still alive,
each photo from their family album may be described and told in a new way.
And every spot may cover a mystery and puzzle from the past.

And when everything is changing,
getting more and more beautiful or walking away into oblivion,
charm of old photographs is coming back again.

Reborn memories, happiness, sad thoughts and the memory of those we knew so well.

And as long as we will speak about them, write or tell stories,
their ghosts will still be alive among us.

Well, each person on the photograph is still alive as long as somebody still remember him/her.



Waldemar Bronicz - rocznik 1958
Właściciel biura rachunkowego i agencji ubezpieczeniowej.
Pasjonat i hobbysta starej fotografii.

Autor licznych publikacji w prasie regionalnej
na temat historii starych zakładów fotograficznych
Sochaczewa, Skierniewic, Żyraedowa i Łowicza.

Właściciel portalu www.bronicz.pl

Autor książki pt: "Wspomnienia z dawnego Chodakowa"
której premiera miała miejsce w 2013 r.